

Dokumentaliści z pasją. Basia i Leonard Myszyńscy. Część 1.

**Rozmowa z Basią Myszyńską, reżyserem z Kalifornii -
o studiach, filmie dokumentalnym, pasji tworzenia i
Helenie Modrzejewskiej.**



Basia i Leonard Myszyńscy

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Urodziła się Pani w Stanach Zjednoczonych, wychowywała się i chodziła do szkoły w Ameryce. Proszę opowiedzieć, jakie były Pani związki z polską kulturą.

Basia Myszyński: Moi rodzice urodzili się w Polsce. W 1950 roku wyemigrowali do USA i zamieszkali w New Jersey. Po jakimś czasie przenieśli się do Kalifornii, gdzie urodził się mój brat i ja.

Dorastałam w polsko-amerykańskim środowisku w Los Angeles. Dzięki zaangażowaniu moich rodziców w działalność na rzecz polskiej kultury poznałam polską sztukę, teatr, muzykę i świat

twórców. Babcia od strony mamy nauczyła mnie czytać, pisać i płynnie mówić po polsku. W szkole średniej otaczały mnie polskie tradycje, należałam do zespołu *Krakusy Folk Dance Ensemble* i do kółka literackiego. Wraz z przyjaciółmi-aktywistami uczestniczyłam w akcji wysyłania leków i artykułów medycznych do Polski.

JSG: Podczas studiów w Ameryce poznała Pani najnowsze kierunki w polskim teatrze współczesnym.

BM: Studiowałam na wydziale dramatu *University of California* w Irvine (UCI). Tam po raz pierwszy zetknęłam się z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego i jego książką *Towards a Poor Theatre* (*Ku teatrowi ubogiemu*). Zafascynowała mnie koncepcja „teatru ubogiego” – w teatrze pozostają tylko aktor i widz, bez dekoracji czy rekwizytów, bez podziału na scenę i widownię. Byłam pod wrażeniem przekraczania granic, dążenia do niekonwencjonalnych teatralnych poszukiwań i surowych warunków scenicznych. Zapragnęłam zgłębić to zjawisko. Dlatego po ukończeniu studiów licencjackich w Kalifornii, pojechałam do Warszawy, aby jako wolny słuchacz uczestniczyć w zajęciach teatralnych Tadeusza Łomnickiego. Pamiętam, że przygotowałam i wykonałam jednoosobowy *show*, w którym pokazałam polskiemu widzowi elementy amerykańskiej kultury.

JSG: Jak to się stało, że zdecydowała się Pani na studia

reżyserskie w łódzkiej Szkole Filmowej?

BM: Moje studia w Polsce trafiły na okres Solidarności. Był to ważny czas o znaczeniu historycznym i intelektualnym, mający wpływ na wielu twórczych ludzi. Zainteresowałam się kinem wschodnioeuropejskim i zauważyłam, jak dużo w tym czasie powstaje ciekawych, symbolicznych filmów. Postanowiłam rozpocząć studia na wydziale reżyserii w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi (PWSFTviT), ponieważ film stał się dla mnie bardziej dalekosiężną i trwalszą formą sztuki, niż teatr. Chciałam dowiedzieć się więcej jak podkreślić nastrój w filmie, jak używać symboliki w komunikacji na ekranie. Reżyseria była więc dla mnie naturalnym przejściem od teatru do filmu.

Chętnie uczęszczałam na tę uczelnię o renomowanej światowej sławie, którą ukończyli tacy filmowcy jak Andrzej Wajda czy Roman Polański. Uczono nas niekonwencjonalnego spojrzenia na świat, spotykaliśmy ludzi filmu o międzynarodowej sławie i zanurzaliśmy się w nowoczesnej polskiej kulturze. Studia w Łodzi dawały też rzadką okazję, aby móc pracować z profesjonalnym zespołem podczas kręcenia filmów, z zawodowymi dźwiękowcami, edytorami, operatorami, oświetleniowcami. Uwielbiałam *casting* i współpracę z aktorami. Zaintrygowało mnie kierowanie kamerą, które stało się nowym doświadczeniem w mojej filmowej edukacji. Poza tym oglądanie filmów

stworzonych przez moich rówieśników z całego świata było fascynujące.



Łódzka Szkoła Filmowa, fot. PAP.

Studiując i pracując w Polsce czułam się jak „w domu”.

PWSFTViT nauczyła mnie, jak twórczo rozmawiać, jak ekstrapolować prawdę i istotę, budując filmowe opowieści. Byłam dumna, gdy otrzymałam tytuł magistra sztuk pięknych, w dziedzinie reżyserii.

No i w Łodzi spotkałam mojego życiowego partnera, też filmowca. To było i jest fenomenalne doświadczenie w moim życiu!

JSG: Czyli podczas studiów w łódzkiej „Filmówce” poznała pani

swojego męża, Leonarda Myszyńskiego.

BM: Tak, Leonarda, wówczas studenta kinematografii poznałam w Studiu Filmoznawczym PWSFTviT, kiedy poprosiłam go o pomoc przy moim pierwszym filmie. Leonard był wspaniałym projektantem oświetlenia i operatorem kamer. Zaskoczyła i oczarowała mnie jego pasja operatorska i fotograficzna. Pracowaliśmy potem nad kilkoma wspólnymi projektami filmowymi, z których jeden został kupiony przez niemiecką telewizję.

Ojciec Leonarda, jako właściciel firmy Myszyński Foto i studia portretowego, od wczesnego dzieciństwa zapoznawał go z różnymi eksperymentalnymi technikami fotograficznymi, co zaprocentowało w przyszłości.

Leonarda szczególnie interesował film dokumentalny. Używał przy tym techniki „Cinema verite” (kamera, która podgląda). Aparat fotograficzny miał zarejestrować „moment prawdy”. Ważna też była dla niego poetyka i impresjonistyczne podejście do fotografii, dzięki czemu obraz zyskiwał subtelną tonację. Dużo się nauczyłam od niego, szczególnie dotyczy to umiejętności patrzenia poza pierwszy wymiar.

JSG: Jakie były powody, że zdecydowali się Państwo na stałe związać ze Stanami Zjednoczonymi?

BM: Pobraliśmy się w Nysie w 1985 roku, a w 1988 roku przeprowadziliśmy się do Południowej Kalifornii i założyliśmy firmę fotograficzną i filmową SOLAR EYE COMMUNICATIONS. Leonard zawsze marzył o Kalifornii, no i Kalifornia dawała ogromne możliwości w naszej branży. Nie było przecież na świecie lepszego miejsca dla filmowców. Dodatkowym argumentem, aby związać się ze Stanami było wsparcie rodziny przy wychowaniu czwórki dzieci. Nasza najstarsza córka Lara, chociaż urodzona w USA, spędziła z nami dwa lata w Polsce. Młodsze dzieci wychowywały się z pomocą moich rodziców w Orange County. Żyjemy i pracujemy we wspaniałej społeczności i to też był ważny powód, aby nasze dzieci tu się wychowywały. Teraz już są dorosłe i każde z nich rozwija swoje zainteresowania. Czasami pomagają nam w projektach filmowych. Nasza najmłodsza córka jest producentem wideo w firmie architektonicznej w San Francisco. Nigdy nie żałowaliśmy decyzji, aby związać się na stałe ze Stanami Zjednoczonymi. Ale Leonard zachował podwójne obywatelstwo.

JSG: Jakie projekty zrealizowali Państwo w Kalifornii ?

BM: Przez ostatnie 30 lat pracowaliśmy dla różnych klientów, takich jak Walt Disney Records, Sony 550, 20th Century Fox, American Vanguard, St. Joseph Health, United Way oraz dla wielu korporacji. Zrealizowaliśmy krótkie filmy dokumentalne takie jak: *Olivia Newton John in Benefit Concert*, *John Farrar*

Making Music, The Child Within, Segerstrom Farming Operation, Beauty-Power-Passion and Riders in the Sky for The Making of Monsters, Inc. Sing-Along. Podróżowaliśmy po Ameryce produkując filmy promocyjne, spoty telewizyjne, komercyjne fotografie i filmy dokumentalne. Przez krótki czas byłam także instruktorem filmowym w prestiżowej szkole sztuki w Orange County. Głównym źródłem naszych dochodów był więc film i fotografia. Ostatnią dekadę poświęciliśmy na dokumentowanie życia i pracy rodziny Modrzejewskich.

JSG: Co Państwa fascynuje w filmie dokumentalnym?

BM: Zanurzanie się w życiu prawdziwych ludzi, poznawanie ich pasji i dzielenie się ich opowieściami, jest niezwykle fascynujące. Ale zrealizowanie filmu dokumentalnego wymaga dużego doświadczenia, umiejętności badawczych i osobistych relacji, np. zaufania członków rodziny, o której opowiadamy. Poszukujemy więc historycznej perspektywy dla naszych bohaterów i odkrywamy nowe fakty, aby w filmie ich uczciwie przedstawić, we właściwym im otoczeniu i w konkretnym czasie.

Kolejnym etapem jest pozyskanie odpowiednich ekspertów i przeprowadzenie z nimi wywiadów. Wspólnym wątkiem naszych filmowych opowieści jest rola sztuki i jej wpływ na prezentowane przez nas postacie. Ciekawe jest też połączenie sztuki z nauką, tak jak to pokazaliśmy w filmie „Bridging Urban America”.



Basia Myszyński wraz z ekspertami Canadian Quebec Bridge: Michele L'Hebreux (z lewej) i Guy'em Y. Felio (z prawej), podczas realizacji filmu dokumentalnego o Rudolffie Modrzejewskim.

JSG: Produkcja filmu dokumentalnego to duże przedsięwzięcie.

BM: Zdajemy sobie sprawę z tego, jak ważne jest poznanie dokumentacji, badania historyczne, prawa licencyjne. Rozumiemy taktykę i źródła finansowania, logistykę produkcji, terminy oraz potrzeby marketingowe. Dobry reżyser przywiązuje

ogromną wagę do detali. Potem, tę wnikliwą obserwację rzeczywistości i prawdę zobaczyć na ekranie.

Ale najważniejszym powodem, dla którego cieszymy się z tworzenia filmów dokumentalnych, jest oddziaływanie społeczne, budzenie świadomości, zwracanie uwagi na problemy, co może skutkować pozytywnymi zmianami w naszym realnym życiu. Np. przesłaniem filmu „Bridging Urban America” jest podniesienie problemu odpowiedzialności i etyki w inżynierii, ze względu na nasze bezpieczeństwo, zwrócenie uwagi na potrzebę stałej konserwacji mostów, bo są one przecież niezbędne dla gospodarki i wzrostu ekonomicznego kraju. Jesteśmy dumni, że współpracujemy z filmowcami, którzy zwracają uwagę na pomijane kwestie, ponosząc przy tym duże ryzyko w dochodzeniu prawdy. Najlepsze filmy nie tylko dokumentują, ale i edukują, informują, inspirują i angażują do podjęcia działań.

Jestem członkiem IDA (International Documentary Association) i ta organizacja była bardzo pomocna przy realizacji filmów.

JSG: Jak to się stało, że zainteresowali się Państwo postacią Heleny Modrzejewskiej?

BM: Moja matka, aktorka-amatorka, była zafascynowana Heleną Modrzejewską. Była też do niej bardzo podobna. Kolekcjonowała książki na jej temat. Sięgałam więc nie raz do biblioteki mojej

matki, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tej dwu narodowej gwiazdzie. Poza tym kocham teatr, sama skończyłam wydział aktorski, występowałam na scenie, uczyłam się, jak się buduje postać, wchodzi w rolę.

Kiedy zbliżało się 100-lecie śmierci Modrzejewskiej, zdaliśmy sobie sprawę, że w Ameryce do tej pory nie powstał film o tej wielkiej szekspirowskiej aktorce. A my mieliśmy ku temu wszelkie warunki, aby taki film zrealizować. Mieszkaliśmy tylko kilka mil od Arden, historycznego domu Modrzejewskiej; Biblioteka *Irvine Langston* na lokalnym *University of California* dysponowała rozległymi materiałami i korespondencją Heleny Modrzejewskiej; *Bowers Museum* w Santa Ana miało jedną z największych kolekcji osobistych przedmiotów należących do artystki; no i znaliśmy (nieżyjącą już) Ellen Lee, jedną z największych znawczyń życia i dokonań Heleny Modrzejewskiej w kraju. A co najważniejsze byliśmy filmowcami i w właścicielami firmy zajmującej się produkcją filmową.



Kadr z filmu „Modjeska Woman Triumphant”. W roli Heleny Modrzejewskiej – Svetlana Efremova, amerykańska aktorka telewizyjna i filmowa.

Ale dopiero, gdy przeczytałam pamiętnik aktorki *Memories and Impressions (Wspomnienia i wrażenia)*, gdzie Helena Modrzejewska mówi własnym głosem i barwnie opisuje swoją podróż przez życie, wtedy tak naprawdę ją pokochałam. Głębokie, osobiste i wnikliwe spojrzenie na otaczającą ją rzeczywistość mnie urzekło. Była pionierką jako kobieta, która odniosła sukces na tym kontynencie. Dorastała wraz z Ameryką wzbogacając jej kulturę. Wcielała się w różne postacie kobiece,

historyczne i współczesne, dzięki czemu stworzyła szeroki wachlarz charakterów i osobowości. Występowała zarówno w największych teatrach Ameryki w dużych miastach, jak i na małych scenach w najdalszych zakątkach kraju. Pokazała kobietom, że one też mają głos. Była jedną z pierwszych kobiet-przedsiębiorców. Udowodniła, jak daleko można zajść wykonując zawód aktora i jaką aktor może spełnić misję. Była po prostu osobą niezwykłą.

JSG: Czyli w jakimś sensie „zaprzyjaźniła się” Pani z tą postacią.

BM: Tak, w pewnym momencie pojawiła się więź między mną a Modrzejewską, ona, w jakiś sposób, przemówiła do mnie. Najbardziej cenię w ludziach szlachetność i współczucie, a Modrzejewska miała obydwie te cechy. Była „artystką z misją”, jak mówi Beth Holmgren, profesor na *Duke University*, autorka książki o Helenie Modrzejewskiej, która jest głównym komentatorem w naszym filmie. Leonard natychmiast wyobraził sobie, jak można opowiedzieć jej historię na ekranie, żeby zaprezentować Modrzejewską poprzez pewien woal niedopowiedzeń, mgłę tajemnicy, bo przecież żaden żyjący człowiek, nie mógł być świadkiem jej życia, aby nam ją realnie przedstawić. Znalazłam aktorkę, która miała cechy Modrzejewskiej: zdawała się przenosić jej osobowość, wygląd i zdolności aktorskie. I tak urodziła się „Modjeska – Woman Triumphant”.



JSG: Film dokumentalny o Helenie Modrzejewskiej „Modjeska – Woman Triumphant” miał swoją premierę w 2009 r. Gdzie do tej pory ten film był pokazywany i jak został przyjęty przez amerykańskiego widza?

BM: „Modjeską – WomanTriumphant” wyemitowano na stacjach PBS, PBS Southern California, Chicago WTTW i WGBY w Massachusetts, na Festiwalach Filmowych w Newport Beach i w Paso Robles (gdzie Paderewski miał rancho) na polskich festiwalach: w Los Angeles, w Chicago, Ann Arbor, Toronto oraz na Festiwalu Filmu i Sztuki Dwa Brzegi w Polsce. Pokazywany był też w Bowers Museum, Helena Modjeska Art & Cultural Club

w Los Angeles, w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie, w Teatrze Wielkim w Warszawie i w wielu innych miejscach.

W 2010 roku otrzymałam nagrodę dla najlepszego reżysera od *The Women's International Film & Television Showcase*. Wiele osób komentowało technikę filmowania Leonarda, emocjonalną muzykę Mikołaja Stroińskiego, czy wspaniałą interpretację głosu Heleny Modrzejewskiej w wykonaniu Danuty Stenki. W recenzjach i artykułach podkreślano, jak bardzo film był szczegółowy i bogaty, jak dużo zawartych w nim było informacji historycznych na temat życia Heleny Modrzejewskiej oraz jej wkładu w rozwój teatru i zawodu aktora w Ameryce. Poruszające było też wystąpienie w filmie czterech potomków artystki. A o tym, że zainteresowanie filmem nie słabnie świadczy fakt, że DVD z filmem nadal się sprzedaje, kupują go zarówno osoby prywatne jak i uniwersytety (wydziały teatralne) oraz biblioteki.

Strona filmu:

<http://www.modjeskawomantriumphantmovie.com/>

Na Facebooku:

<https://www.facebook.com/Modjeska-Woman-Triumphant-docum>

entary-125154740868247/

DVD:

<http://www.modjeskawomantriumphantmovie.com/pages/orderdvd.html>

http://www.polarartcenter.com/DVD_Modjeska_Woman_Triumphant_p/9816400.htm

Druga część rozmowy z Basią Myszyński, tym razem na temat filmu dokumentalnego o synu Heleny Modrzejewskiej, Ralphie Modjeskim „Bridging Urban America”, ukáže się w piątek 11 sierpnia 2017 r.

Zmartwychwstanie

z pośmiertnych
papierów. Jan
Darowski
(1926-2008).



Henryk Waniek

Resurrectio chartarius posthumus

czyli

zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów

Mam ja chyba z poezją jakieś nienormalne stosunki. A z poetami – pomijając wyjątki – w ogóle się nie zadaję. A tymczasem – proszę, książka, prawie czterysta bitych stron druku, które czytam jedna za drugą, mimo że tytuł na okładce, jak na moje wyczucie, dość szkaradny – *Poezje*. Autor – Jan Darowski. Wydane w Rzeszowie (2015). Już przekroczyłem połowę!

Na stronie 299, w rozdziale zatytułowanym *Okruchy*, gdzie rzeczywiście są jakieś okruchy, ale też szkice, jednowersowe poematy, aforyzmy (niektóre trafią do dłuższych wierszy, inne do esejów), znajduję coś oto takiego: „zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów”. Więc pewnie też „żywot wieczny, amen”. Ciekawe, co poeta miał na myśli? Czy jakaś to intuicja?

Wyznanie wiary w papier? Proroctwo?

Książka przez którą się właśnie przeprawiam, to tom drugi z serii „Dzieła Jana Darowskiego”, wydawanej przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA w Rzeszowie pod redakcją Jana Wolskiego. A nawet trzeci, jeśli uwzględnić wydane wcześniej *Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajień. Twórczość Jana Darowskiego. Studia i szkice*. (2012). Poza wstępem, apendyksami i indeksem, składają się na nią szkice 27 różnych autorów. Wszystkie – i te lepsze, i te gorsze – ciekawe. A szczególnie jeden, o którym powiem na końcu. We większości jednak akademickie – niestety.

Za tom piąty można by uznać *Archiwum domowe Jana Darowskiego*, ale on z kolei oznaczony jest jako trzeci. Więc już się pogubiłem w tej numeracji. Może następne wniosą odrobinę jasności. Oby. Bo są tam – jak słyszę – jeszcze liczne „papiery pośmiertne” warte zmartwychwstania. Że warte, jestem pewny, choć ich nie znam. Na początku jednak, zanim odważyłem się na *Poezje*, zapoznałem się z tymi... *Studiami i szkicami*.

Zastanawiające, że w tej liczbie autorów tylko 3 osoby reprezentują Uniwersytet Śląski w Katowicach. Zwracam na to uwagę, bo Jan Darowski, podobnie jak Florian Śmieja, jego kompan z londyńskiej grupy literackiej *Kontynenty*, przez całe życie silnie podkreślali swą śląską tożsamość. Może dla

Uniwersytetu Śląskiego żadna to zaleta? Może się mylę i powód dla którego spuścizna Darowskiego trafiła nie do tamtego, a do Zbiorów Specjalnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, to splot nieznanych mi przypadków, jeśli ktoś wierzy w przypadki. Zresztą może on sam by sobie tak życzył? Bo kto wie czy w Rzeszowie szansa na z papierów rezurekcję nie jest większa niż w Katowicach?

Tego nie wiem, ale telefonuję do znajomych filologów z Uniwersytetu Śląskiego. Jeden, doktor habilitowany oraz profesor zwyczajny. Drugi tylko dr hab. Pytam jednego i drugiego czy znają twórczość, a choćby tylko słyszeli o Darowskim. Pierwszy zdecydowanie zaprzecza. Nazwisko nic mu nie mówi. A dlaczego pytam? Gdy wyjaśniam, że chodzi o powstanie z martwych, staje się jeszcze bardziej ciekawy. Drugi natomiast odpowiada, że coś tam wie, choć słyszę wyraźnie, jak już w następnym zdaniu przekręca nazwisko na Darecki. Więc szkoda gadania. Przestaję telefonować, a w międzyczasie dowiaduję się jednak, że owszem, profesor Marian Kisiel zna. Więc może ktoś jeszcze?

Korci mnie by kontynuować ten test wśród mniej znanych mi tamtejszych luminarzy. Bo mało kto jak Darowski, Raciborzanin z pochodzenia, zasługuje przecież na miejsce w kulturowej pamięci regionu. Takich osobowości raczej się tam nie liczy na kopy. Ale co tu testować, skoro nie ma o nim wzmianki nawet w

pracy prof. Zbigniewa Kadłubka i Łucji Stanickowej – *99 ksiąg czyli mały kanon górnośląski* (2011). Nie ma tam zresztą również Floriana Śmieji. A czy jest Piotr Guzy?

Więc taki to kanon. A bezwzględnie powinni tam być. Szczególnie Darowski, bo to pióro nie było jakie i umysł, choć dopiero z papierów zmartwychwstający. To mnie zresztą za bardzo nie dziwi, jako że przyszło mu być emigrantem. Żył niemal na innej planecie, patrząc na Polskę z bezpiecznego dystansu. Co więcej, nie rozpychał się Darowski na jarmarku literackiej próżności. Emigranckim, oczywiście. Przyglądał mu się z rezerwą, a kto wie czy nie nawet z niesmakiem. Tam, w Albionie. Ale czy na polskim byłoby inaczej? Do jarmarku nie pasował, kwalifikował się raczej do Hyde-Parku. Poza tym, gdzie mu tam do uniwersytetów! Jego doktoratem było samo życie. Lektury. Myślenie. Trzeźwy ogląd rzeczy. Nie czułby się pewnie dotknięty, gdybym tu napisał – samouk. Bo trudno o większy komplement. Kto się bowiem sam nie uczy, nie uczy się wcale, tylko jest nauczany. Toteż samouków mam w wielkim poważaniu.

Nadto, był Darowski człowiekiem – jak się to mówi – z charakterem. Nie praktykował kompromisów. Żadnych ustępstw na rzecz wydumanych „wyższych racji”, choćby korzystnych. Co gorsza, z usposobienia weredyk, co nie czyni życia lepszym. Świat rozkochany w iluzjach i baśniach nie zdradza wielkiego popytu na prawdę. Powiedzmy zatem, że myślowo kierował się

raczej ku prawdzie niż jej eleganckim przeinaczeniom. I tak ostatecznie wypadł mu – a raczej pośmiertnym papierom – ten Rzeszów, gdzie z nimi obchodzą się czule, podczas gdy na Śląsku ledwie o nim wiedzą. Albo nic zgoła.

Oczywiście, czytelnikom TWÓRCZOŚCI, ani jej redaktorom, wyjaśniać wręcz nie wypada kim był Jan Darowski. Gościł na jej stronach kilkakroć jako autor, a też jako temat. A już na pewno nie Rajmundowi Kalickiemu, który w połowie lat 90. ze zmiennym szczęściem usiłował znaleźć dla niego godziwe miejsce w miesięczniku. Szczególnie dla jego esejów. O trudnościach z tym związanych jest mowa w listach jakie doń napisał Darowski, teraz opublikowanych (TWÓRCZOŚĆ, Nr.6, 2015). Rozumiem i podzielam tę słabość Kalickiego do jego pisarstwa, choćby dlatego, że jest w Darowskim coś, czego nie ma u innych. Co zdarza się nielicznym. Odwaga sądzenia, mianowicie. Osobista i – na ile to tylko możliwe – obiektywna. Samotna.

Kolektywne *unisono*, to nie było dla niego. Nie basował w chórach. Jako solista żył z boku, chyba świadomy, że go słucha niewielu rodaków. A jeszcze mniej słyszy. Bo też światek brytyjski, w którym się wygodnie zakotwiczył, to była garstka zaledwie, na ogół z takim IQ, jakie dopuszcza regulamin wojskowy, lub przedwojenna polska matura. A on? Nawet nie porucznik. Do tego niemieckie, średnie wykształcenie

techniczne. No i wreszcie inteligencja osobista, zaledwie wrodzona. Więc na jakich koturnach miał się tam poruszać? Czym mógłby się pysznić on – człowiek zwyczajny, otwarty na oścież, dociekliwy, chętny, lubiący być użytecznym. A też i zamknięty na rzeczy zalatujące fałszem – choćby niewinnym.

Przez jakiś czas nosił się z zamiarem pisania wyłącznie po angielsku. I choć nic z tego nie wyszło, dość obszernie naświetlił ten zamiar, przy okazji wytykając językowi polskiemu defekty. Swą krytykę wzmocnił doświadczeniem drukarza i poliglotty. Tezę, że „język polski może być zapóźnionym językiem kultury zasadniczo rolniczej i literatów kultury rolniczej...”, na którą z pazurami rzucił się Józef Łobodowski, omówił i tak szczegółowo mu wyjaśnił, że uszczypliwość Darowskiego względem polszczyzny jest całkiem uzasadniona. Dodać należy, że nie tylko polski i angielski, lecz także niemiecki i rosyjski znał biegle. Więc nie tylko o to chodziło, że w języku polskim było mu niewygodnie. Bardziej chyba o to, że po angielsku byłby liczniej czytany i słuchany. I może nie musiałyby teraz z papierów zmartwychwstawać? Co bardziej zaciemnione umysły w jego otoczeniu, doszukiwały się w tej deklaracji znamion zdrady. Renegacji bodaj. Kto by tam pamiętał o Josephie Conradzie czy choćby Jerzym Pietrkiewiczu?

Ten zamiar wszelako jawi się dwuznacznie w świetle wyznania, jakie w 2001 roku uczynił w rozmowie z Beatą Tarnowską:

Niestety, pierwszy wiersz napisałem po angielsku i pisałem po angielsku przez następne 5 lat [od 1949 roku]. Pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików w Londynie... Ale uświadomiłem sobie, że urodziłem się na Anglię o 22 lata za późno. I wróciłem do korzeni języka polskiego. Bardzo kiepsko z tym było i naprawdę zostałem wprowadzony w język polski po raz drugi w życiu.

Lecz w zasobach rzeszowskiego archiwum nie ma (jeśli się nie mylę) żadnych utworów Darowskiego po angielsku. Wiedział on przecież, że pewne rzeczy trudno ująć w innym języku niż polski, bo by się w nim najzwyczajniej nie zmieściły. Choćby w angielskim. Więc droczył się z tą polszczyzną, raczej prowokując niż grożąc. Wydobywał jej słabostki przekonany, że tylko w ten sposób można ją wzmocnić. Uchronić przed zagładą. Przed schorzeniami, które właśnie się dzieją. Czy nie z naszym udziałem? W istocie, bardzo ten język polski celebrował, włącznie ze zdarzającymi mu się nieznacznymi dziwactwami. Na przykład:

nie ma dla nas innego dostępu do jej treści prócz przez jej obraz graficzny.

Dość notorycznie u Darowskiego płacze się to „prócz”. Ale żaden to grzech. Wszystko jest zrozumiałe.

Pozostał więc pisarzem polskim. Poetą. Znany był również z nadzwyczaj udanych przekładów. Miłosz czy Herbert widzieli w nim najsolidniejszego tłumacza. Lecz dla niego translatorstwo było marginesem. Jak i cała ta poezja. Przeto oryginalnej twórczości Darowskiego nie da się ująć prosto. Bo jest ona prymarnie spłaszczona przez fakt, że w biogramach i bibliografiach Darowski notorycznie występuje jako „poeta”. O tyle to zgodne z prawdą, że istotnie, pisywał i wydał nawet dwa zbiory wierszy. Podobnie jak prawdą jest, że „tłumacz”, skoro z powodzeniem przekładał na angielski Różewicza, Białoszewskiego, Szymborską i innych. Także „w drugą stronę”, tłumaczył na polski Davida Herberta Lawrence’a czy Williama Butlera Yeatsa.



Ale ja bym go nazywał „pisarzem”. Nie tylko dlatego, że uprawiał też prozę, jakkolwiek jego *Unsere* trudno nazwać powieścią. To poruszające osobiste świadectwo. Bardzo osobiste. Raczej autobiografia. Ale w końcu i ta opowieść traci równość narracji, skręca w dygresje, przemienia się w istny „traktat o wszystkim”. Darowskiemu nie przeszkadzało, że „wszystko” jest niemożliwe. A co szkodzi, próbować? Zatem ostatecznie góruje w nim eseista, którego erudycyjne gadulstwo nie zawraca sobie głowy formą i konwencjami. Podobnie zresztą, jak sarka na naukową pychę, tak często myloną z mądrością.

Więc zamiast wydzwaniać do Uniwersytetu Śląskiego i

wypytywać, sam zabieram się do pisania. Ale najpierw do przeczytania, bo jak na mizerne moje możliwości, to jednak sukces bez mała. Czytam, czytam jeden wiersz za drugim. Przy niektórych dopada mnie drzemka. Przy innych nie gubię sedno. Czytam te *Poezje* jako kompletny bilans dorobku wierszopisa. A więc wydany w 1969 roku w Londynie zbiór *Drzewo sprzeczki* oraz – również w Londynie – *Niespodziewane żywoty* (1990). I wreszcie pośmiertnie *Wiersze różne*, a nade wszystko – także pośmiertnie – *Okruchy*. Te ostatnie są trochę bulwersujące; jedno, dwu, rzadziej trzywierszowe notatki, niektóre w kilku wariantach. Czasem wydają się być incipitami pomysłów, którym się już nie chce dorastać. Poeta wydaje się być znużony tym rzucaniem grochu o ścianę.

„Wiersze jak wiersze, sprawnie napisane, ale nie o poezję w nich chodzi” mówi ktoś, również nieobojętny na Darowskiego. Tu i ówdzie zarys jakiegoś obrazu, myśli, słów, które w pełni rozwijać się będą i dojrzewać dopiero w esejach. Słuszna, oj słuszna jest uwaga Jana Wolskiego:

Jeszcze do niedawna, jeżeli kojarzono go, to właśnie z poezją, a bywało, że niemal wyłącznie z nią. Ale to chyba eseistyka zajmuje w całym dziele miejsce bardziej eksponowane, a raczej może je zająć.

A gdy czytam ich – Darowskiego i Kalickiego – rozmowę, którą sobie ucięli w Londynie na początku roku 1994, wyobrażam sobie niezwykłość, której się dosłuchał gość w jego słowach. Między innymi, to spojrzenie ze zdrowym dystansem na polski – krajowy i emigracyjny – stan rzeczy.

A to dlatego, że poza wszystkim, co tu napisałem, w osobowości Darowskiego jednak przeważał Polak. Mieszkający w Anglii, zgoda, i tam mający już własne, zapięte na ostatni guzik życie. Ale czy nie dlatego właśnie? Czy aby Polakowi nie jest potrzebny status emigranta, by się gruntowniej określiły jego horyzonty. Emigracja zewnętrzna, czy wewnętrzna – obojętne. Bo kontury Polski, Polaków i polskości widać z oddalenia wyraźniej niż to może się zdarzyć gdzieś w Warszawie, Lublinie czy Poznaniu. Niż to bywa w ślepym oddaniu się Polakom, Polsce i polskości. I w tym sensie Darowski dość *explicite* powtarza, że jednak polskość zobowiązuje. Do czego? To pytanie zostawiam na później, bo na razie chcę wydobyć tę jego szczególną właściwość widzenia, którą określe jako imperatyw przyzwoitości.

Gdyby to przeczytał, pewnie by się zżymał. Że się go tutaj próbuje uczynić arbitrem jakiejś etycznej poprawności. Poprawnej narodowości. Czy w ogóle jakiegokolwiek poprawy. Tymczasem, ani w swoich wierszach, ani nawet pomiędzy nimi, nie dawał do zrozumienia, że go to w ogóle obchodzi. A raczej, że o ludzkiej przyzwoitości wie więcej, niż ktokolwiek, choć byłby z

nią nawet na bakier. Nie stroił się w kitel terapeuty społecznego, ani naprawiacza ludzkich (polskich) defektów. Był trzeźwym historiozofem, który obserwował i uczestniczył w sprawach godnych wstydu, choć też i dumy. Bo żeby postrzegać pełnię polskości, trzeba być trochę również nie-Polakiem. Obraz tej pełni Darowski posiadał bytując w świecie rodaków-emigrantów, gdzie jej wszystkie odcienie występowały szczególnie ostro.

Po pierwotnym urzeczeniu Giedroycia jego bezceremonialnym językiem, stał się rychło niewygodny dla paryskiej KULTURY w grach tam praktykowanych. Z kolei w ospałym środowisku brytyjskim nie znajdował partnerów. Pisał więcej niż publikował. Ta rosnąca ilość papierów, które prędzej czy później staną się „pośmiertne”, to w dużej mierze rachunek jego publicznego milczenia. Chyba postępującego. W jakimś spóźnionym porywie, wobec spustoszeń wieku i postępującej choroby, dał się nakłonić. Dał się raz jeszcze pchnąć w stronę papieru i pióra, a właściwie komputera. I to w czasie – tak sobie wyobrażam – gdy już nabierał świadomości, że twórczość pisarska, a głównie poetycka, zawodzi w komunikowaniu się z innym. Sporadycznie publikował to tu, to tam, ale wybór był właściwie niewielki. Po roku 1989 niektóre jego teksty trafiły na łamy krajowe. Mało. Nic zatem dziwnego, że ostatecznie ciekawość poniosła go na ogólne sprawy ducha i ontologii, a szczególnie tej *paleo*, co nie znaczy wcale, że ośleplął na rzeczywistość bieżącą. Tyle, że współczesność widziana z dystansu, podobnie jak ojczyzna czy

naród, także jawi się ostrzej.

Gdy już jedna choroba za drugą utrudniała mu większą aktywność, jeszcze raz uruchomił potencjał swojego języka. Mogłoby tylko być nieco mniej wierszy. To znaczy – poezji. Tyle, że w pewnej jej części dostrzega się jednak jakby suchą zaprawę do esejów, w których tam ledwo muśnięte idee, symbole czy sprawy, nabiorą sensu i rozmachu. Przypomina mi się sąd Henryka Berezy, który na pewną ilość głupstw powiedział także pewną ilość rzeczy mądrych. Za jedną z nich uważam to zdanie, niejednego mogące wpędzić w konfuzję: „przeznaczeniem poezji jest proza”. Wielu (większość!) poetów rzeczywistych oraz poetów tak zwanych, rozmija się – jaka szkoda! – z tym przeznaczeniem, dożywotnio pisząc duby smalone, lub – co wielokrotnie Darowskiego to śmieszyło, to oburzało – rozpisując się na temat własnej niemożności pisania. Od tej i innych bolączek ratować może poezję jej – zdaniem Berezy – przeznaczenie, czyli proza. W prozie nie ma taryfy ulgowej; ucieczki w znaczące (oby tylko!) niedomówienia, niedoróbki i całą tę estetykę, sprawiającą, że ostatecznie biel strony tylko nieznacznie pokryta jest drukiem. Naturalnie proza prozie – podobnie jak poezja poezji – nierówna, i by się nie posuwać za daleko, wystarczy powiedzieć, że na jej płaszczyźnie egzamin jest bardziej surowy, mniej wyrozumiały dla poetyckiego farniente.

Skoro już się tutaj – *deus ex machina* – pojawił Bereza, narzuca

się automatycznie pytanie – znał on aby pisma Darowskiego? Teoretycznie biorąc, znać powinien. Przynajmniej to, co ukazało się w TWÓRCZOŚCI za jego życia. Gdy żył, pewnie bym go o to nawet nie spytał, bo moje stosunki z Berezą właściwie były żadne. Ukłony na odległość, gdy przesiadywał w najbardziej cienistym kącie redakcji. Spoglądał stamtąd nieufnie, rojąc sobie może, że jestem dawnym mentorem Jerzego Illga, którego słowa go niegdyś dotkliwie zraniły, czemu zresztą zaprzeczał. Może domyślał się, lub ktoś niedelikatny mu powtórzył, że większość jego ONIRIADY odczytuję jako oniryczną mistyfikację. Grę towarzyską. Nie wiem. Wystarczał mi ten na odległość szacunek jakim go darzyłem i szczypta nieufności. Ale w sprawie Darowskiego, jak teraz myślę, sąd Berezy miałby wielkie znaczenie. Tyle, że proza Darowskiego chyba nie jest z gatunku, który Bereza mógł mieć na myśli. Czy w ogóle proza?

Raczej odpychanie poezji.

Młodzieniec, myślący u nas o literackiej karierze, stara się najpierw zadebiutować tomikiem wierszy, zacząć jako ‘poeta’. To zawsze robi dobre wrażenie, a poza tym wie, że poezja jest »sprawą młodości«, fazą, z której się i tak wyrośnie.

Te słowa znajdziemy w eseju *Nieobecność i Kara* [Eseje s.25]

napisanym w roku 1961, zanim ukazał się jego debiutancki zbiór wierszy, gdy Darowski (35 lat) mógł jeszcze od biedy myśleć o sobie „młodzieniec”.

Ale trochę dalej, w tym samym eseju:

„Cokolwiek mógłbym rzecz o poezji” – pisał Julian Przyboś – „mogę potem odwrócić i jeszcze mieć rację, chociaż w innym układzie odczuwania poetyckiego”. Istotnie, każda wypowiedź o niej jest jakby globalna, a odwrócona też zasadniczo jest słuszna, bo pokazuje nam tylko inną hemisferę tej samej estetycznej całości. Nie tak jak w prozie, która ma się do słowa poetyckiego jak arytmetyka do geometrii, jak analiza do syntezy. Proza, w jej zasadniczej formie, nie jest strefą międzysłowa, niespłacalnych hipotek ontologicznych, wewnętrznych kryteriów [*Eseje* s.26].



Fot. Stuart Heath

Ten „falujący” i otwarty na przejściowe kryzysy stosunek Darowskiego do poezji i do siebie jako poety, przejawiał się przerwami w jego twórczości. A nawet – jeśli wierzyć słowom jego rozmówcy – prowadził go do deklaracji radykalnego jej zaprzestania. Ale deklaracje to jedno, a przymus wewnętrzny, to coś całkiem innego. W jednym z epizodów szpitalnych, ku jego własnemu zdumieniu, wylało się z Darowskiego kilkadziesiąt wierszy. W zbiorze *Niespodziewane żywoty* są one datowane, więc widać, że tutaj poetyckim katalizatorem był stan wojenny w Polsce. Pamiętam z tego czasu, że w krajowym świecie

podziemnych wydawnictw również nastąpił gwałtowny wylew twórczości poetyckiej. Głównie grafomańskiej. Bo tak to się wtedy wyrażał pobudzony patriotyzm, zraniona duma i narodowe urazy.

„Wiersze, jak wiersze, sprawnie napisane...” powtórzę raz jeszcze, ale więcej emocji i mentalnej korzyści znalazłem w eseju *O grafomanii i literaturze*, gdzie Darowski, zresztą bardzo dobrotliwie, wbija szpikulec adeptom jednego i drugiego. Zatem – furda poezja! To przecież tylko zabawa z językiem, którego celem ostatecznym jest proza. Myśl dorzeczna. O tylu ludziach większego i mniejszego formatu słyszałem (czytałem, lub sam pomyślałem): „mędrzec!”, że powtarzanie tego o Janie Darowskim tylko by mu przynosiło ujmę. Takiemu wprost wypada od czasu do czasu parać się mową wiążaną. Ale miarą jego rozmiaru nie te są interwały.

Więc poeta czy nie, przede wszystkim jednak człowiek (tu by się przydała wielka litera) języka polskiego, lekko zmaczonego prowincjonalizmami, choć nie bardziej niż u Gombrowicza. Polak także, podobnie jak Gombrowicz, twórczo zwaśniony ze swoją polskością, ale z właściwie ustawioną poprzeczką. Krzywo patrzący na domniemaną wielkość swojej tożsamości. I z powodu tego domniemania nie całkiem szczęśliwy. „Szczęśliwe niewielkie narody” napisze w ostatniej linijce wiersza *Z kazań na niejasnej górze*. (*Poezje*, str.176), chyba wiedząc i widząc, jak pod

brzemieniem swojej wyobrażonej wielkości jego ojczyzna ledwo się trzyma na nogach. Ale co jeszcze poza językiem jest jego ojczyzną?

Coś takiego w tomie *Poezje* na stronie 157 czytam:

Najlepsi – pod wozem

na wozie – nawóz

jak zawsze

Nie wiem jakim cudem

jeszcze Polska nie zginęła...

którą oświeca przez trujące mgły

raz pięść krwawa

raz posmarowana łapa. (1982).

Jasno powiedziane. Jakim cudem, tego też nie wiem, ale – podobnie jak Darowski – temu, że cuda istnieją, zaprzeczyć nie mogę. Wiersz, jak wiersz.

Obiecałem, więc powracam do tego „że jednak polskość zobowiązuje.” Do czego? Jasnej odpowiedzi na to pytanie daremnie szukać u Darowskiego. Rozsiane w jego tekstach tu i tam, impresyjne spostrzeżenia odnośnie tej sprawy, to raczej uwagi poirytowanego racjonalisty, który z irracjonalnym układać się nie chce. Nieco światła na to Darowskiego przewrażliwienie rzuca pewien spór z Czesławem Miłoszem, który niegdyś z entuzjazmem rekomendował Darowskiego Giedroyciowi. Miłosz na łamach KULTURY, skomentował tekst z roku 1973, opublikowany w londyńskich WIADOMOŚCIACH.

Artykuły jego [Darowskiego] są napaścią na dzieje całej Słowiańszczyzny i dzieje Polski i to od strony języka... Kto jest ciekaw riposty Darowskiego, kładącego noblistę na łopatki, ten ją znajdzie w *Esejach* od strony 159, ale tutaj chodzi o coś jeszcze innego; mianowicie o odpowiedź na pytanie, którą sami musimy złożyć z rozproszonych napomknień. „Dlaczego nie jesteśmy, kim być powinniśmy?” zapytuje Darowski w zakończeniu swych utarczek z Wielkim Poetą. I jeszcze: „...Kim chciałbym, żebyśmy się stali? A bo ja wiem? Wiem z grubsza, kim nie jesteśmy, a to już wydaje się być coś dużo za dużo na nerwy pewnych panów. Ale kim możemy się stać, tego może wolałbym nie wiedzieć, bo [...] gdyby z nas ktokolwiek wiedział, to pewnie nie byłoby dla nas żadnej przyszłości wartiej większego zachodu”.

Stać się. Wysublimować z siebie najlepsze. Przemieniać niskie w szlachetne. Czysta alchemia. Można pomyśleć, że Darowski naczytał się Junga. W jego księgozbiorze jest istotnie stare wydanie *Psychology and Religion* (1938), a nawet *The Tibetan Book of the Dead* z Komentarzem psychologicznym C.G.Junga, ale nic więcej. Poza tym Polakowi, skoro ma Jasną Górę i Ostrą Bramę, wręcz nie wypada parać się alchemią duchową i grzebać w mrokach kolektywnej nieświadomości. Niech sobie nurkuje w polszczyznę i w ten sposób doświadcza indywiduacji. I to jest właśnie sedno całego cudu. Bo Polska jest cała z języka, a czasem nawet wydawać się może, że wyłącznie z niego. Wobec chwiejnych miar i wszechobecnej niechęci; wobec gorzkiego rachunku, który zamykają „pośmiertne papiery Darowskiego”, takie jest więc polskość zobowiązanie, by jej nie powierzać niepewnym instancjom, tylko najlepszemu z możliwych wzorów człowieczeństwa, wzięty z rejonów ponad, czy pozanarodowych. I równać ją – tę polskość – do niego raczej, niż wyświechtanych półprawd i iluzji.

Nie byłoby zasadne, by z tekstów Darowskiego wydobywać przede wszystkim to, w czym odzywa się jego troska o kraj, naród i język. To się oczywiście tam czuje, ale w zmiennym natężeniu, a z biegiem lat jego uwagę przykuwają atrakcje bardziej konkretne. Geologia, paleologia, prehistoria i krytyczna historiozofia w ogóle. A w tym naturalnie częste dawki psychologii, tej trafnej i tej błędnej. Gdy tak wyliczam dziedziny,

w które Darowski zaglądał, naprowadza mnie to na domysł, że może podobnie jak wiersze czy proza, nie mogące znaleźć wygodnego miejsca poza językiem polskim, tak i Polacy, Polska, polskość są tylko westybulem; pretekstem zaledwie by wejść (wyjść?) dalej, poza te wąskie kategorie, tylko pogłębiające nasz deficyt wolności. Wyjść ku humanistycznemu conceptowi człowieka „w ogóle”. Że tak się stało z myślą Darowskiego, poza dużą ilością poszlak, mam tylko jeden dowód. A i ten niepewny, bo znany mi z drugiej ręki niejako, pośmiertny jak najbardziej, ale nieopublikowany esej *Chemia wolności*. Co zawiera, wiem z grubsza dzięki Magdalenie Boczkowskiej (Uniwersytet Śląski), która się tym zajmuje w rozprawie *Wokół eseju Kain i Abel. Kilka uwag*, opublikowanej we wspomnianych *Studiach i szkicach*.... Bo taki ostatecznie dał mu tytuł Darowski. Autorka przestudiowała maszynopis eseju, składającego się z czterech rozdziałów. Streszcza i hojnie cytuje, podsycając tylko czytelniczą ciekawość. Mam nadzieję, że kiedyś ten esej poznamy w całości. Lecz na razie mogę się tylko zachwycać tym, co mi się – chyba bezprawnie – roi. A równocześnie miętoszę w sobie pytanie, czy przed Jungiem, a może po nim, sięgnął Darowski po Hermanna Hesse. Nie po *Siddhartę*, *Wilka stepowego* czy *Das Glasperlenspiel*. Mam tu na myśli *Demiana*, gdzie ważnym symbolem gatunku ludzkiego jest kainowe piętno. I taki też jest punkt wyjściowy pierwszego rozdziału eseju, który ma tytuł *Homo habilis*. Kain dopuszcza się zbrodni, najpierwszej w biblijnej historii człowieka. Kulturozoficzne, miejscami wręcz

teologiczne komentarze Darowskiego rozciągają się na rozdziały: *Homo faber*, *Homo vastans*, i ostatni *Homo actor*.

Nie będę tu streszczał streszczenia, choć dla Boczkowskiej tok rozważań autora wydaje się na tyle przejrzysty, że sama jest gotowa dodać mu jeszcze jeden rozdział. Piąty. Dałaby mu tytuł *Homo solitarius* i składa się wyłącznie z wziętych skądinąd słów Darowskiego, który objawia się tu jako człowiek z początku nowej epoki. Epokę tę nazywa modnie – postchrześcijańską. I tak z jednej strony z Janem Darowskim, a z drugiej Zygmuntem Baumanem, pięknie konkluduje swoją rozprawę:

Po pierwsze, bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dziś *homo solitarius*. Samotni w swych wyborach. Samotni w swych porażkach i zwycięstwach. W codziennych walkach. Sami wśród tłumu podobnie samych. Samotni w globalnej wiosce. Po drugie, jesteśmy dziećmi Kaina, dlatego – jak pisze Darowski – »nasze *contemptus mundi* jest pełne niewymownej rozpaczey«. Nikt jednak nigdy już nam nie udowodni, że będąc dziećmi Abla, żyłoby nam się lepiej.

Cóż więcej można powiedzieć niż ten, ni to dezyderat, ni modlitwę: Papiery pośmiertne! Zmartwychwstajcie!

METEQUE- Atelier d'Art w Montrealu



Atelier Meteque

Katarzyna Szrodt

Brak odpowiednich warunków nie zwalnia artysty od wysiłku tworzenia. Im więcej myślę o emigracji, tym więcej mi się zdaje, że takie zjawisko siły twórczej w pustyni wygnania to najwyższe usprawiedliwienie tułaczki emigracyjnej

- napisał Józef Czapski o misji tworzenia na emigracji. Słowa Czapskiego, który swoim życiem udowodnił, że warto dzielić się płomieniem talentu z innymi w niesprzyjających warunkach emigracji, przyświecają misji kreatywnego działania w odmiennej kulturze, środowisku, języku. Myślałam o Czapskim, gdy kilka dni temu odwiedziłam nową galerię: **Metèque - Atelier d'Art**, która pojawiła się na kulturalnej mapie Montrealu. Atelier założyła chilijska artystka **Carolina Echeverria** i Polka **Agata Kozanecka**, działaczka społeczna.



Atelier Meteque

Ucieszył mnie ten nowy artystyczny punkt, gdyż od lat nie było w Montrealu galerii z polskim akcentem, a jednocześnie wzbudził podziw, bowiem prywatne galerie upadają z braku nabywców sztuki i potrzebna jest duża determinacja i siła twórcza, by zbudować środowisko zainteresowane nową galerią. Jak podkreśliły obie właścicielki, nie będzie to galeria w tradycyjnym tego słowa znaczeniu wystawiająca i sprzedająca sztukę, lecz atelier działań twórczych. Wystawy odbywać się będą przy okazji planu atelier, który zakłada różnorodne działania artystyczne, spotkania kreatywne nakierowane na sztukę twórców emigracyjnych i wszystkich osób zainteresowanych działaniami

artystycznymi.



Atelier Meteque, sztuka ludowa Indian chilijskich



Atelier Meteque, sztuka ludowa Indian chilijskich

Obecnie Kanada przeznaczą duże środki finansowe na odrodzenie twórczości autochtonów- Indian i Eskimosów i **Atelier Meteque** włącza się w ten profil działań. Sztuka ludowa Indian chilijskich jest mocno akcentowana w twórczości **Caroliny Echeverria**. Symboliczna obecność zwierząt, ptaków, drzew, kwiatów w symbiozie z człowiekiem, nasycone barwy

czerwieni, błękitu, zieleni, pomarańczy i żółci, figuralność i narracyjność, wszystko to przywodzi na myśl sztukę indiańską.



Atelier Meteque, „The Dress of our hopes”.

Projektem, który aktualnie realizowany jest w atelier są „sukienki”- „The Dress of our hopes”: na metalowej osnowie różne osoby zawieszają bliskie im przedmioty odpowiadające profilowi danej „sukienki”: wspomnienie z domu rodzinnego, pokój na świecie, kobiecość, to nazwy tych swoistych „sukienek”. Z fragmentów tkanin, zdjęć, koralików, różnych przedmiotów, zabawek, biżuterii, powstają różnobarwne i wielokulturowe

mozaiki o kształcie manekina.



Atelier Meteque, fot. Katarzyna Szrodt



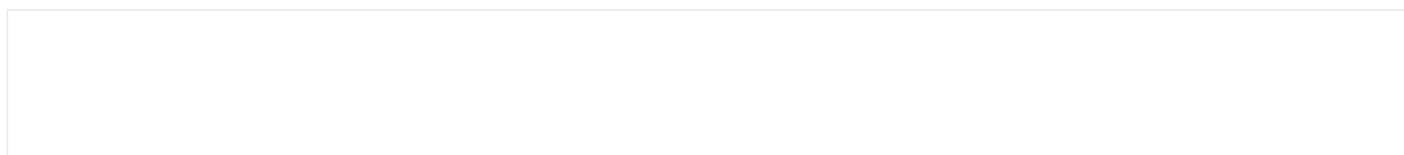
Atelier Meteque, fot. Katarzyna Szrodt

Atelier Meteque ma wiele projektów na przyszłość, ja zaś dorzuciłam pomysł wystawienia prac polskich artystów plastyków wraz z prezentacją wystawy o polskiej emigracji do Kanady, która przysłana została przez Muzeum Emigracji w Gdyni. Warto czym prędzej wykorzystać nowy punkt w dobrym miejscu, w dzielnicy anglojęzycznej i zaprezentować dorobek montrealskich Polaków oraz ukazać historię polskiej emigracji za chlebem. Emigracja jest przeżyciem trudnym, a emigracja talentu tym bardziej, o czym zbyt mało mówiło się do tej pory. Wystawa w Meteque ma szansę połączyć te dwa zjawiska w całość.

Dla osób zainteresowanych polecam stronę:
www.nativeimmigrant.com

Ostatni lotnik

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego opowieść Bryana Desmonda Jonesa - ostatniego lotnika 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki, zmarłego w tym roku w Johannesburgu, który w sierpniu 1944 roku niósł pomoc dla walczącej Warszawy.





Bryan Desmond Jones w
1944 roku.

Barbara M. J. Kukulska

Bryan Desmond Jones urodził się 29 kwietnia 1923 roku w Północnym KwaZulu – Natal w Południowej Afryce, zmarł w Johannesburgu 16 lutego 2017 roku.

Miał 21 lat, kiedy przeżył dramatyczne chwile ostrzelania jego samolotu przez Niemców. W tych ułamkach minut, kiedy ważyło się jego życie, podjął decyzję: „Jeśli wyjdę z tego żywy poświęcę

swoje życie Bogu!”

Dotrzymał obietnicy, został pastorem.

W czasie II wojny światowej podczas Powstania Warszawskiego należał do 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki. Był w stopniu porucznika, nawigator oraz bombardier. Jego zadaniem było ustawienie kursu, naprowadzenie samolotu na cel oraz zrzuć ładunku.

Wstąpił do lotnictwa w wieku 17 lat, skończył szkołę i na początku 1942 roku rozpoczął pracę. W czasie wojny jego dywizjon stacjonował w rejonie pustyni egipskiej i stamtąd prowadzili ataki na Kretę – port i stocznię Heraklion. Później przenieśli się w okolice Ciolloni Foggia we Włoszech, gdzie prowadzili akcje w nocy, a ich głównym celem były silnie bronione pola naftowe. Atakowali też inne duże miasta takie jak Bukareszt, gdzie były zbiorniki z ropą naftową, rafinerie, Budapeszt i inne lotniska na Węgrzech.



Na szczycie piramidy w Egipcie w 1944 r. Bryan Jones pierwszy z prawej.



Bryan Jones na Bliskim Wschodzie, styczeń 1944 r,

Oprócz tego, raz w miesiącu wykonywali zadanie, jakim było zrzucanie magnetycznych min na Dunaju, które hamowały przepływ barek przewożących ropę naftową z Rumunii do Niemiec.

Akcja nad Warszawą była w nocy, księżyc świecił wtedy bardzo jasno. Lotnicy znaleźli wyznaczony obszar i zniżyli się na wysokość 30 stóp nad rzeką Wisłą. Komory bombowe były otwarte i wszystko było gotowe do zrzucenia min, ale...

Relacjonuje Bryan Jones:

W momencie, gdy miałem nacisnąć spust uwalniający bomby, zauważyłem, że zaraz pod nami był inny samolot, tego samego kształtu jak nasz. Krzyknąłem do pilota: „Kapitanie, pod nami jest inny samolot. Nie możemy teraz zrzuć bomb”. On odpowiedział: „W porządku” i zatoczyliśmy koło, by tam za chwilę wrócić.

Okazało się, że ten samolot poniżej, to... było odbicie w wodzie ich samolotu. Niemcy to wykorzystali i byli gotowi do ataku z brzegu rzeki. Nikogo z załogi nie trafili, ale samolot był posiekany od kul.

Bryan Jones nie znał Europy, ani sytuacji w jakiej się znalazła na skutek działań wojennych. Ten lot, był pierwszym nad Polską, o której nic nie wiedział. Dla nich, wówczas młodych chłopców, była to przygoda. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że może zostać zraniony, czy nawet zabity.

W sierpniu 1944 roku stacjonowali na lotnisku Ciolloni, obok Foggi, na wschodnim wybrzeżu Włoch.

W niedzielę 13 sierpnia została wywieszona czerwona flaga na kwaterze sztabowej.

Okazało się, że porucznik Dirk Nell wyznaczył 10 załóg na specjalną odprawę i znaleźliśmy też swoje nazwiska na liście. Pobiegliśmy więc do namiotów, zabraliśmy nasze rzeczy i wsiedliśmy do samolotów. Wszyscy byliśmy podekscytowani bo myśleliśmy, że mamy zaatakować południe Francji w czołowym natarciu.

Już to wcześniej robiliśmy i wiedzieliśmy, że to dla nas bułka z masłem, bo było to łatwe, więc byliśmy podekscytowani. Gdy czekaliśmy w kolejce by wystartować, podbiegł do nas Anglik ze spadochronem w ręku, był artylerzystą, i mówi: 'Czy mogę lecieć z wami?' Nasz pilot odpowiada: „Zapytaj porucznika”, więc on odszedł, ale nie wiem czy w ogóle poszedł do porucznika, możliwe, że po prostu obszedł samolot dookoła i wrócił z drugiej strony. Mówi: „Porucznik się zgodził” więc powiedzieliśmy: „Wskakuj!” Myślał, że wybiera się na krótką wyprawę, a zajęło mu to cały rok zanim wrócił.

Wylądowaliśmy w Brindisi i poszliśmy do pokoju sali konferencyjnej RAF-u. Tam w poprzek sali wisiała mapa Europy i zszokował nas widok czarnej taśmy, jaką zaznaczano trasę, biegnącą wzdłuż Adriatyku, Albanii, do Rumunii, przez Węgry, Czechosłowację, nad Karpatami, aż do Warszawy. Pomyśleliśmy: „Wow! Kto jest na tyle szalony,

żeby tam lecieć?” Byliśmy już wtedy zaprawieni w bitwach, wykonaliśmy 12 lub 13 lotów do tego czasu i wiedzieliśmy, że nikt nie jest na tyle głupi, żeby się porywać na wykonanie tak niebezpiecznego zadania – lotu do Warszawy.

Rozpoczęła się odprawa. Dowódca skrzydła RAF-u wstał i powiedział zwyczajnie: „Panowie, celem waszym dziś jest Warszawa”. W tym momencie wszyscy westchnęli, nie mogliśmy w to uwierzyć. Gdy doszliśmy do siebie, dowódca powiedział: „Co więcej, będziecie dostarczać zrzuty dokładnie na teren Warszawy, więc będziecie musieli lecieć na wysokości dachów, żeby zrzucić zaopatrzenie prawie na dokładny adres ulicy”. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale taka była prawda.

Następnie poinformował nas, że w Warszawie jest powstanie. Nie powiedział nam, jaka jest sytuacja polityczna, ani, że Rosjanie podeszli pod Wisłę, ale odmówili pomocy. Nie powiedział nam też o wątpliwościach naszego przełożonego porucznika brygadiera Durrenta, ani, że Churchill wydał taki rozkaz. Ledwo wiedzieliśmy, gdzie Polska leży, ale kazano nam lecieć. Właśnie do takich zadań zgłosiliśmy się na ochotnika, gdy zapisywaliśmy się do lotnictwa, więc poleciliśmy.



Załoga SAAF B-24 Liberator EW105, siedzący pierwszy z prawej Bryan Jones, nawigator i celownik bombowy.

Bryan Jones brał udział tylko w jednym locie nad Warszawą w dniu 13 sierpnia 1944 roku. Leciał Liberatorem, produkcji amerykańskiej B-24, którym wystartowali z bazy o godz. 18:30, mieli zrzucić zapasy, których pilnie potrzebowano w walczącej Warszawie. Była to broń, amunicja, środki opatrunkowe i lekarstwa.

W czasie odprawy przyszedł specjalista od meteorologii i powiedział, że pogoda nie jest najlepsza. Ale to było mało powiedziane, pogoda była przerażająca. Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: pod koniec odprawy dowódca skrzydła zaprosił polskiego dowódcę dywizjonu kpt. Szostaka, by wygłosił mowę. On powstał i w bardzo emocjonalnym tonie powiedział: „Mój kraj, Polska, ma poważne kłopoty. Proszę was – obywateli Wielkiej Brytanii i RPA – o pomoc dla Polski”.

Dla nas, młodych ludzi, brzmiało to bardzo poważnie, i naprawdę poruszyło nasze emocje. Ale to oświadczenie to był dopiero początek, a z pewnością w moim przypadku, ogromnego podziwu dla Polski i Polaków.

Pogoda była straszna!

Lecieliśmy zataczając się z pełnym zbiornikiem, ciężkimi zapasami i nas siedmiu mężczyzn na pokładzie. W końcu dolecieliśmy nad Karpaty, jakoś przedarliśmy się przez nie.

Niebezpieczeństwem były oblodzone skrzydła, a raczej ich krawędzie, które ciągnęły samolot w dół. Gdy przelecieliśmy nad Karpatami zniżyliśmy się i przed sobą zobaczyliśmy ponury blask, i zorientowaliśmy się, że to płonąca Warszawa.

Muszę tu zaznaczyć, że jako nawigator byłem z siebie zadowolony bo lecieliśmy na ślepo w chmurach, a jak się wyłoniliśmy, byliśmy na właściwym kursie, a tam był nasz cel.



Liberator EW105 z 31 dywizjonu został zestrzelony nad Warszawą w nocy 13/14 sierpnia 1944 r.

Lecieli nad Karpatami. Mieli ostrzeżenie, że muszą uważać, bo są tam samoloty myśliwskie. Warszawa widoczna była z daleka, gdyż nad miastem unosiły się płomienie i dymy. Kiedy znajdowali się nad Wisłą zostali zaatakowani i stracili jeden silnik.

Pomimo tego pragnęli wykonać zadanie zrzutu nad wyznaczonym miejscem, którym były okolice Starego Miasta. Wypatrywali punktu, gdzie ktoś miał dawać sygnały lampkami. W płomieniach, dymie i ostrzeliwaniu nie było nic widać. Wykonali obliczenia i ustawili kurs zgodnie ze szczegółowymi mapami.

Byli oświetlani reflektorami, ostrzeliwani i słysząc było huk uderzających pocisków w samoloty. Rzeka zakręcała, a przed nimi widać jakby wystrzeliwały fajerwerki. Pomimo tego kierowali się do wyznaczonego celu. Lecieli z otwartymi komorami bombowymi na wysokości 120 do 150 metrów nad ziemią z prędkością zaledwie 135 mil (taki mieli rozkaz).

Wcześniej powiedziałem, że byłem bardzo religijnym człowiekiem, wierzyłem wtedy, że Bóg istnieje i że jestem w jego rękach.

Miałem świadomość, że nie jestem sam w samolocie, byli tam nie tylko moi koledzy, ale był też Bóg.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego inni zginęli, a ja nie. Ale, dla przykładu podam taką sytuację: leżę tam na podłodze, czytając mapę i instruując pilota „w lewo, w lewo, w prawo” i nagle słyszę jak ktoś do mnie mówi: „Hej, Jones, załóż hełm”,

Wszyscy mieliśmy obowiązek nosić stalowe hełmy, ale nigdy ich nie nosiliśmy, gdyż są ogromne i głowa się w nich obija. Zawsze je zdejmowaliśmy i rzucaliśmy na podłogę. Ale wtedy ktoś powiedział: „Hej, Jones, załóż hełm”. Wyciągnąłem więc po niego rękę, wciąż patrząc przed siebie, i założyłem go na głowę.

Nie chcę kreować wrażenia, że się nie bałem, gdyż bałem się. Ale byłem tak pochłonięty obliczeniami, robieniem zdjęć i czytaniem mapy, że nie pamiętam strachu. Pamiętam tylko, jak pociski uderzały w samolot, i artylerzystę krzyczącego z tyłu: „Kapitanie, dostałem w ramię, nie mogę kierować działem”. Zawołaliśmy tego Brytyjczyka, którego zabraliśmy ze sobą i powiedzieliśmy, żeby zabrał stamtąd rannego i zajął jego miejsce. Tyle pamiętam. Ale proszę nie myśleć, że byłem taki odważny, serce mi waliło, tylko po prostu byłem zbyt zajęty – i to mnie uratowało.

W momencie, kiedy dokonaliśmy zrzutu, poczuliśmy jak samolot poderwało do góry. Zamknęliśmy komorę bombową, zwiększyliśmy prędkość i lecieliśmy do domu. Podałem kurs pilotowi, który obliczyłem już wcześniej, więc kapitan go ustawił i próbowaliśmy wrócić do Włoch. W tym momencie odstrzelono nam drugi silnik. Zostały jeszcze dwa.

Nagle, w samolocie zapanowała ciemność. Okazało się, że

cała hydraulika samolotu też została odstrzelona, nie mieliśmy światła. Ale wciąż próbowaliśmy wrócić do Włoch. Nie było mowy o tym, żeby postawić przednie koło i lądować. Nie, wracaliśmy do domu. Ale wewnątrz samolotu wszystko chrobotało, słyszeć było hałas ścierania, i samolot wylądował na lotnisku w Warszawie.

Wywiad z Bryanem Desmondem Jonesem o zestrzeleniu jego samolotu nad Warszawą podczas przygotowywania zrzutu dla walczących Powstańców:

Samolot wylądował prosto, ale zarył się w ziemię, silnik ucichł. Bryan Jones stracił na chwilę przytomność, ale nałożony hełm uratował mu życie. Niemcy na lotnisku zapalili reflektory i zaczęli ich ostrzeliwać.

Bałem się. Leżeliśmy tam, a oni cały czas nisko strzelali. Pamiętam wyraźnie, jak pomyślałem: Jest niedziela wieczór, moi rodzice są teraz pewnie w kościele w Derbin, i modlą się „Prosimy, opiekuj się naszym chłopcem”.

Zawarłem wtedy układ z Bogiem – co za tupet! – powiedziałem: „Panie, boję się. Jeśli zabierzesz mnie z powrotem do Południowej Afryki do mamy – to wstąpię do kościoła i zostanę pastorem. Proszę cię, Panie”.

Jest to zupełnie inne doświadczenie dla lotnika być schwytanym, niż dla żołnierza, ponieważ jest się przyzwyczajonym do latania i bycia wolnym, a tu nagle nie tylko znajduję się na obcej ziemi, ale też nie jestem w ogóle przyzwyczajony do bycia na ziemi. I pamiętam, że w duchu, jak mały chłopiec, przerażony wołałem: „Mamo, patrz co oni mi robią”.

Dokładnie tak, jak wołałem, gdy byłem małym chłopcem w szortach. Ale moja mama była daleko, mój dywizjon był we Włoszech, a ja byłem sam.

Zostali zaaresztowani i osadzeni w więzieniu. Bryan Jones przeżył koszmar przesłuchań, złego traktowania, przewożenia pod eskortą z jednego obozu jenieckiego do drugiego.

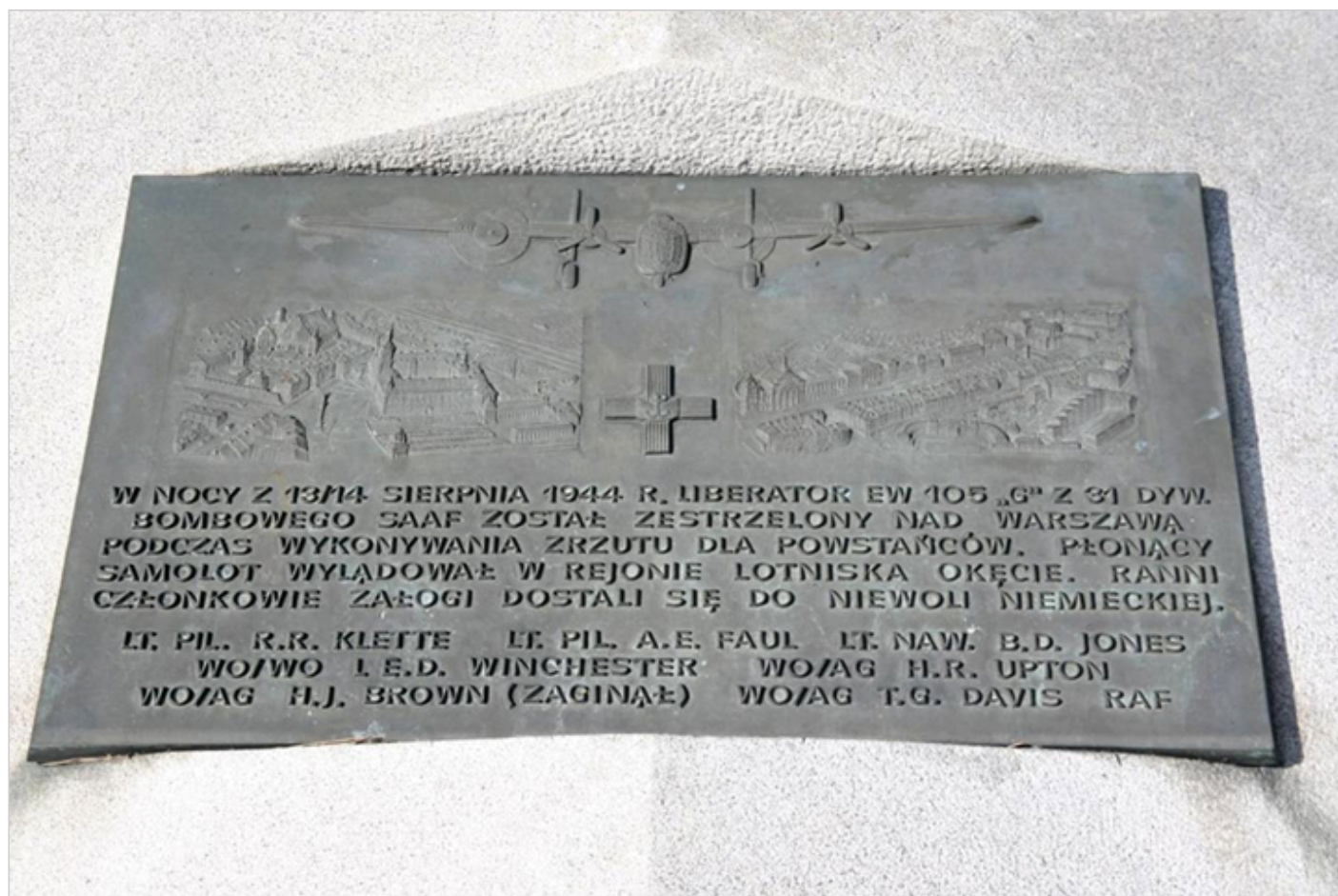
Po wyzwoleniu Polski, wrócił do Południowej Afryki i po wielu latach dotrzymał przyrzeczenia. Został pastorem.

Los był dla mnie łaskawy, nie chcę powiedzieć, że miałem szczęście, bo w to nie wierzę.

Bóg ma plan dla każdego z nas, a jego plan dla mnie, był taki, że miałem przejść przez to piekło w Warszawie – Gestapo i reszta. Miał dla mnie taki plan i chciał, żebym go

posłuchał.

I gdy teraz patrzę z perspektywy na to, jak to wszystko się skończyło, myślę, że to było cudowne. Nie miałem z tego pieniędzy, ale mogłem pomagać ludziom w kościele, wykorzystać do tego swoje doświadczenia.



Tablica na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie upamiętniająca zestrzelenie samolotu, którym leciał Bryna Jones nad powstańczą Warszawą w 1944 r., fot. Hubert Kuberski.

Źródło:

www.biltongbru.wixsite.com/ww2-saaf-heritage

<http://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/bryan-desmond-jones,1949.html>

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” w Johannesburgu, RPA, nr 637.

Partnerzy
i towarzysze życia.
Korespondencja

Melchiora i Zofii Wańkowiczów.



Melchior Wańkowicz z żoną i córką, 1960 r., fot. PAP.

Mirosława Pałaszewska

Znany pisarz i reportażysta Melchior Wańkowicz poznał swoją przyszłą żonę Zofię z Małagowskich w Krakowie w 1914 roku poprzez jej braci. Przyszły autor *Szczenięcych lat* i *Ziela na*

kraterze kończył tam Szkołę Nauk Politycznych, a Zofia studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zareczyli się jeszcze tego samego roku. W grudniu 1914 napisał do Zofii:

Ogarnia mnie zrozumiała, głupia i niepotrzebna duma. Patrząc na te wszystkie pary zaręczone i swatane na Litwie, na wszystkie panny i młodzież męską – i myśląc o nas – mam wrażenie, że to wszystko gdzieś tam w dole jest małe i nikczemne u nóg nam się roi.

Wielki jest Pan Bóg i jakże rozliczne szczeble dusz ludzkich!

Wracam na wieś; wracam po te parę słów od Pani, parę słów najobojętniejszych, które odsłonią mi może, co moja narzeczona myśli.

Pobrali się 8 lutego 1916 roku. Trzy lata później (8 października 1919) przychodzi na świat córka Krystyna, a 29 lipca 1921 roku – druga córka Marta (znana czytelnikom jako Tili). Przed narodzeniem Marty przyszły ojciec pisał 20 lipca: *To wprost fenomenalne rzeczy, co piszesz – jak jakiś cud Boży, jak kiełkowanie rośliny ten rozwój dziecka. Z głęboką czcią myślę o Tobie jako o matce.*

Zofia Wańkowiczowa przebywa wówczas w Jerce, majątku dzierżawionym przez brata Melchiora - Witolda. Głowa rodziny mieszka w Warszawie przy ul. Elektoralnej 49/5. Korespondencja między małżonkami jest dość ożywiona. Bardzo ciekawe są listy pani Zofii cytujące zabawne powiedzenia i zachowania córek. Jesteśmy świadkami, jak dziewczynki rosną. *Twoje listy o dzieciach są moja najwyższą i jedyną właściwie przyjemnością* - podsumowuje Wańkowicz.

Proponując żonie przyjazd do Warszawy (po 6 latach małżeństwa) pisał:

Będę oczekiwał u wyjścia na dworzec - zgięty u arkady nisko, niziutko - jeśli p. Fryze pójść poczekać pozwoli. Potem pocałuję w rękę i będę iść za Tobą do naszego domu, patrzeć na pochyłą linię szyi, gdzie rośnie ten najdelikatniejszy puch - i cicho cieszyć się. A w pewnej chwili Ty się odwrócisz i wejrzysz na mnie swoimi oczami jasnymi. Mój Boże!

A ona komentuje potem ten pobyt:

Taki byłeś ładny, jak leżeliśmy na plaży w ostatni dzień

wyjazdu mego. Chciałam Cię ucałować, ale się spieszyłam. Obejmuję serdecznie.

Zachowane listy z okresu przedwojennego pani Zofia opatrzyła słowami:

W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia.

Świadczą o tym słowa Melchiora, które przekazał Zofii jej ojciec:

Mel upatruje w Tobie cnoty, przymioty, talenta prawdziwie wszelakie, o które ja, Ojciec, nawet nie podejrzewałem Cię.

Kiedy już zamieszkali razem w Warszawie on został Kingiem (podczas czytania dziewczynkom *W pustyni i w puszczy* na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci), ją nazywano Królikiem. W *Zielu na kraterze Wańkowicz* pisał:

Mama-puszyste łapki - dzierżyła rządy tego Domeczku. Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi. Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko - Królik. To poszło od anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku - jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdławił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza - jak Boga kocham - to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem - o tak!”

Ponieważ „wilk okropnie „zły” nieraz wybuchł: „Bo ty zawsze zaczynasz”, więc Mama została królikiem.

Miłość między małżonkami przetrwała. W czasie wojny byli daleko od siebie. Melchior Wańkowicz przekroczył we wrześniu 1939 granicę z maszyną do pisania. Znalazł się w Rumunii, dokąd 24 III 1940 przybywa jego córka Marta. Potem trafia na Cypr, wyjeżdża do Palestyny, pracuje jako korespondent wojenny we Włoszech. Ona całą okupację spędza wraz z drugą córką (poległą w czasie powstania) w Warszawie. Spotkają się znowu 24 XII 1945, kiedy to Zofia przybywa do Włoch. Następny etap w ich życiu to domek na Ealingu w Londynie, kolejny wyjazd - tym razem za ocean - do Stanów Zjednoczonych. Listy do małżonki pisuje podczas objazdu Kanady (8 IX - 16 XII 1950). Odwiedza kraj w 1956 roku, a dwa lata później małżonkowie już na stałe

wracają do kraju. I znowu listy z objazdu (tury odczytowej), tym razem po Polsce. Potem listy nieliczne są wysyłane do szpitala, gdzie przebywa pani Zofia. Ostatnia kartka została napisana przez pisarza 22 I 1968 roku:

tak się każdy wyśpi,

Jak se pościele,

No i moje wyjście

Przespaaś Aniele.

Idę do Biblioteki

Znaczy Narodowej,

Mimo Twoje skrzeki

Brać olej do głowy.

Zofia Wańkowiczowa zmarła 20 maja 1969 roku. W jakiś czas potem Pan Melchior rozesłał do znajomych i przyjaciół także piękne podziękowanie:

Dziękuję za słowa żalu po śmierci Żony rodzinie, kolegom, przyjaciółom i znajomym, redakcjom, wydawnictwom, stowarzyszeniom i instytucjom.

Dziękuję za listy czytelników, którzy pod niefrasobliwym tekstem książek zrozumieli, że to o towarzyszu życia kochanym, potrzebnym, koniecznym. Listy były tak przejmujące, jakby pisali o kimś najbliższym.

Już Jej nie pokażę tych listów z Polski i ze świata, już jej nie będę mógł powiedzieć, jak pojedynczo składane kwiatki pokryły wieńce ze wstęgami.

To już tylko dla mnie ta otucha, te nieraz nieporadne listy, te koperty bez właściwego adresu, na których wypisano słowa pełne dobroci.

Dziękuję, całym sercem za Króliczka. Ale go już nie ma.

Wsparliście mnie w tych najcięższych dniach utraty tej, która towarzyszyła mi pięćdziesiąt trzy lata, a której nie stało u kresu pisarstwa.

Rzeczywiście, Zofia Wańkowiczowa była dla swojego małżonka partnerem i towarzyszką życia przez te wszystkie lata. Świadczą

o tym listy, jakie pisali do siebie będąc w oddaleniu. Ona pisała do Niego:

29 VII 1940: Tak Ciebie kocham. I dzieci.

4 X 1940. Mam zawsze Twój list w torebce, aby się przytulić, i list Małej, aby się uśmiechnąć. A 11 X 1940: Tak bym się chciała do Ciebie przytulić, bo ucho boli i dokucza głuchota, i trudno pracować.

On listy do Niej rozpoczyna:

Najdroższe Moje (i milutkie) Kochanie; Kochana Zosieńko; Zosinku Mój Drogi! Moja Maleńka; Moja Miła, Moja Kochana, Kochana Mojuśka. W liście z 1966 roku, a więc w pół wieku po ślubie pisze: Myślę o Tobie ciągle, jestem ciągle przy Tobie i chciałbym, żebyśmy już jak najprędzej się połączyli.

Ale listy te mówią jeszcze wiele o ich życiu, prostują obiegowe opinie o dostatnim życiu pisarza. Są wspaniałym uzupełnieniem utrwalonych na kartach Jego książek. Jest to lektura fascynująca.

Rodzina Wańkowiczów odchodzi w przeszłość. 6 sierpnia 1944 zginęła córka Krystyna. Pani Zofia zmarła 29 maja 1969, Melchior 10 września 1974 roku. Nie żyje też córka Marta (Erdman) i jej mąż Jan Erdman. W 2004 roku umarł Tadeusz Walendowski (27 lutego 2004), a niecałe dwa tygodnie później (10 marca 2004) jego żona Anna Erdman, wnuczka Melchiora.

Oby znalazły się oficyny, które zechcą wydawać książki tego wspaniałego reportażysty. By kolejne pokolenia poznawały historię Polski widziane oczyma świadków.

*

Korespondencja pisarza mogła się ukazać dzięki wieloletnim zabiegom Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, której pisarz zapisał swoje archiwum. Już wcześniej opublikowała korespondencję pisarza z Czesławem Miłoszem (na łamach „Twórczości” 1981 nr 10; w II obiegu wydał ją „Głos” w 1986 roku). Nakładem Czytelnika ukazała się w jej opracowaniu w 2000 roku korespondencja z Jerzym Giedroyciem (*Listy 1945-1963*) w serii *Archiwum „Kultury”*. Wcześniej (1993) „Twój Styl” wydał *Korespondencję Melchiora i Krystyny Wańkowiczów* (Ojca z córką). Udostępniła też niżej podpisanej korespondencję Melchiora Wańkowicza i Zofii Kossak (opublikowaną w „Twórczości” 1997 nr 6).

Pani Aleksandra (czy *Oleńka od Wańkowicza*, jak nazwał ją jeden z czytelników) niedługo po śmierci pisarza nauczyła się odczytywać rękopisy i zaczęła przepisywać na maszynie (to nie była epoka komputerów) zachowaną korespondencję małżonków. Wyszło jej ponad 1000 stron. Kołatała do drzwi wielu wydawców. Trzykrotnie podpisała umowę. Dopiero „Twój Styl” zrealizował umowę wydając w dwóch eleganckich tomach, w twardej oprawie całą korespondencję, bez żadnego skreślenia. Pozostaje tylko żal, że nie wszystkie listy się zachowały. Listy te są wspaniałym uzupełnieniem *Ziela na kraterze*.





King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów. T.1: 1914-1939, t.2: 1939-1968.

Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Warszawa 2004 r., Twój Styl.

Recenzja ukazała się w „Liście oceaniczny” – dodatku kulturalnym „Gazety”, pod redakcją Joanny Sokołowskiej-

Wojciech Rogala: Pasję podróżowania wyniosłem z domu

Rozmawiamy z Wojciechem Rogalą, którego debiutancka książka: „Witamy w białej Afryce”, ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Muza. Autor opowiada o poznawaniu Afryki, jakże różnej od tej, której obraz znał z przekazów medialnych, a także o przyjaźniach, fascynacji pustynią i podobieństwie architektury niemieckich miasteczek do... Wrocławia.



Wojciech Rogala, fot. arch. autora.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Niedawno ukazała się Pańska pierwsza książka - tom reportaży „Witamy w białej Afryce”. Skąd u Pana pasja podróżowania, która zaowocowała tak interesującym debiutem?

Wojciech Rogala: Pasję podróżowania wyniosłem z domu. Zarówno ojciec, jak i wujek starali się wyjeżdżać w czasach, gdy nie było to takie proste. W naszym domu zawsze było dużo

książek i wszyscy je czytali, toteż i ja zacząłem czytać. Czytanie stało się moim nawykiem. Po za tym – o czym muszę z dumą wyznać – moja mama pracowała jako pielęgniarka w Egipcie, w szpitalu wojskowym, z ramienia wojsk ONZ i otrzymała nawet Pokojową Nagrodę Nobla. Cztery lata temu, na sesji ONZ mama jako jedyna dostała dyplom i prawdziwy medal Pokojowej Nagrody Nobla.

Podróżować zacząłem wcześniej – gdy chodziłem do szkoły podstawowej. To były wyjazdy autostopem do babci. A potem, kiedy byłem w liceum, jeździłem na Węgry i do Czechosłowacji. W ten sposób z kolegami zarabialiśmy pieniądze, handlując różnymi rzeczami.

BLC: Rodzina nie bała się o Pana?

WR: Nie, bo gdy miałem siedem lat, dojeżdżałem do szkoły sam, dwoma tramwajami. Na początku tata ze mną pojechał ze dwa razy, ale potem jeździłem sam. Mama była wtedy w Egipcie, więc radziliśmy sobie sami. Dziś, oczywiście, nikt nie wypuściłby siedmioletniego dziecka z domu, ale to były inne czasy.

BLC: A kiedy zrodziła się myśl o dalekiej podróży?

WR: Pod wpływem licznych lektur zapragnąłem pojechać do Afryki, bo ten ląd mnie najbardziej fascynował. W 1989 roku, po

maturze, zdecydowałem, że wyjadę do RPA na stałe. Wyruszyłem nawet do Wiednia, gdzie w ambasadzie słabą angielszczyzną poprosiłem o azyl. Odpowiedziano mi uprzejmie, że trzy tygodnie wcześniej odbyły się w Polsce wolne wybory, więc nie mogę otrzymać azylu politycznego. Doradzono mi także, abym zdał maturę, nauczył się angielskiego i ponownie przyjechał. Wróciłem rozczarowany, ale nie przestałem marzyć o Afryce. Pierwszą wielką podróż odbyłem do Casablanki. Po zdaniu matury poszedłem na geografię, co bardzo mi się w życiu przydało. Także i w tym znaczeniu, że posiadana wiedza pozwalała mi rozmawiać z napotkanymi ludźmi na różne tematy. Oczywiście, podczas studiów często gdzieś wyjeżdżałem, bo każdy taki wyjazd był przygodą. Pominąwszy Europę, odwiedziłem trzydzieści cztery kraje: byłem w obu Amerykach, Azji, Nowej Zelandii. Mieszkałem nawet przez rok w Australii. Odwiedzałem też Afrykę.

BLC: Dlaczego zdecydował Pan napisać właśnie o Afryce?

WR: Sądzę, że dlatego, iż Afryka uderzyła mnie wieloma kontrastami, a poza tym zaskoczyła na różne sposoby. Staram się żyć według prostych reguł – dla mnie białe jest białe, a czarne jest czarne. Odebrałem w domu patriotyczne wychowanie i umiłowanie wolności. Ojciec strajkował w FADROMIE, a myśmy mu sekundowali. Moja mama pracowała w Szpitalu Wojskowym we Wrocławiu, więc zmobilizowali ją w czasie stanu wojennego.

Przeżywaliśmy to wszystko bardzo mocno. Również w szkole uczyła mnie historii odważna pani. Dzięki niej mogłem otwarcie mówić o Powstaniu Warszawskim. Dlatego takie pojęcia, jak wolność i niepodległość są dla mnie bardzo ważne.



Wojciech Rogala, fot arch. autora.

Dopóki nie pojechałem do Afryki, słyszałem ciągle, że biali biją i wykorzystują czarnych. Kiedy jednak się tam znalazłem, przekonałem się, że media kłamią, pokazując półprawdy,

zakłamując wszystko. Przekonałem się naocznie, jak jest naprawdę. Z moich doświadczeń wynika, że to raczej czarni wykorzystują białych. W demokratycznym państwie biali są zobowiązani przyjmować wskazane im osoby do zarządów spółek, muszą płacić łapówki urzędnikom państwowym. W latach 60. najwięcej państw afrykańskich uzyskało niepodległość i wszystkie porównania dotyczą okresu sprzed kolonializmu i po nim. Tymczasem biali prowadzili trzydziestoletnią wojnę z komunizmem, w której po stronie atakujących było obecnie rządzące SWAP, a po stronie broniących apartheidu było ok. 90% czarnych. Zdumiało mnie, że stanęli w obronie swoich ciemniejszych. Dzięki wielu rozmowom z ludźmi zacząłem to rozumieć.

W Swakopmund widziałem bardzo zadbane domy Niemców, którzy tam ciągle mieszkają, a dwadzieścia metrów dalej znajdują się groby ofiar z obozów koncentracyjnych, które kiedyś tu były... Te miasteczka i domy przypominają architekturą dawny Wrocław. Na cmentarzu spotyka się polskie nazwiska – jak to możliwe?

Nawet przyroda jest pełna kontrastów – to jest fascynujące!

BLC: Wielką wartością Pańskiej książki jest to, że pokazuje Pan Afrykę jako kraj pełen nieoczekiwanych kontrastów, że Pańska narracja złożona jest z wielu wątków, które

pozwalają spojrzeć na pewne zjawiska i problemy nieschematycznie. A już najbardziej ujęła mnie Pańska wrażliwość i skłonność do refleksji, zarówno nad sprawami istotnymi w sposób oczywisty, jak też pozornie zwykłymi, czego przykładem może być opowieść o chorej, starej kobiecie idącej w kierunku morza, aby popływać. Te podróże do Afryki to także nowe przyjaźnie...

WR: Rzeczywiście, kiedy przełamie się pewną barierę, to ludzie okazują się bardzo przyjaźni. Ciągłe dostaję od nich listy! Bastardzi, którzy są mi najbliżsi, bardzo przypominają w sensie kulturowym Europejczyków, a nawet Polaków, bo zachowują się i ubierają jak oni, są bardzo religijni i czują się białymi chrześcijanami, choć niektórzy z nich mają czarną skórę. Za czasów apartheidu biali mieli prawa, których nie miała ludność murzyńska i Bastardzi. A jednak, kiedy z nimi rozmawiałem, dowodzili, że ustawy apartheidu nie były tak mocno rygorystyczne, jak w RPA i żyło się im bardzo dobrze. Poszczególne narody mieszkaly w strefach wyznaczonych i odpowiednio od siebie oddalonych, więc po raz pierwszy od wielu lat wydarzyła się rzecz niesłychana – plemiona te przestały ze sobą walczyć. Nie mieli wprowadzić tych samych praw, co biali, ale poczuli się bezpieczni, bo zaprzestano zabijania ich. Buszmeni, z którymi rozmawiałem, wyznali mi, że po raz pierwszy zostali wówczas uznani za ludzi. To dlatego tak chętnie wstępowali do armii. W dalszym ciągu boją się Owambo, którzy

kiedyś ich zabijali jak zwierzynę. To są dla mnie takie sprzeczności, które z trudem pojmuję albo nie potrafię zrozumieć wcale.

BLC: Chciałam Pana jeszcze zapytać o język opowieści. Kapuściński twierdził, że aby napisać jedną stronę własnej książki, trzeba przeczytać setki stron dobrej literatury. Co Pan o tym sądzi?

WR: To moja pierwsza książka. Nigdy przedtem nic nie napisałem. Przyznaję jednak, że czytam dużo i „od zawsze”. Początkowo nie miałem żadnego pomysłu na tę książkę... Po moim pierwszym wyjeździe do Namibii nie robiłem żadnych notatek, to się stało dopiero później. Czasami były to obszerne notatki, czasami jakieś szczególne słowo albo zdanie, jak choćby to: *Oddajcie mi moją pustynię*. Potem snułem opowieść na temat historii, która z kolei budziła jakieś własne refleksje... I tak powstawała ta książka.



Pustynia, fot. Wojciech Rogala.

BLC: Nie rezygnował Pan również z filozoficznego aspektu tej opowieści. Podarował Pan dzięki temu czytelnikom piękny opis swojego doświadczenia pustyni, która jest... pustką. Co w tym takiego fascynującego?

WR: Pustynia mnie fascynuje swoim ogromem i tym, że czuję się wobec niej taki mały. Ta pustka i czystość, niezniszczony przez człowieka naturalny krajobraz przejmują mnie najbardziej. Kiedy

na nią patrzę, muszę sobie zadać pytanie, kim jestem. To jest szczęście, że mogę tam pojechać. A jedną z najprzyjemniejszych rzeczy w podróżowaniu jest powrót, kiedy mogę podzielić się z przyjaciółmi tym, co przeżyłem. Przywożę dla nich z podróży różne potrawy, napoje, aby mogli tego posmakować. Z potrzeby dzielenia zrodziła się ta książka.

BLC: Gratuluję zatem wspaniałego debiutu. Czekamy na kolejną opowieść.



W. Rogala, fot. arch.
autora.

Wojciech Rogala - wrocławianin, ukończył geografię na tutejszym Uniwersytecie. Z zawodu zarządca nieruchomości, z pasji - podróżnik i bibliofil. Zwiedził ponad 60 krajów, w tym 34 europejskie. Pierwszą znaczącą podróż odbył do Casablanki. Afryka jest lądem, który fascynuje go w sposób szczególny. Rezultatem jego afrykańskich przygód i doświadczeń jest książka o Namibii.

„Siedem rozmów o poezji” – Floriana Śmiei dialogi z poetami

Recenzja książki



Na Culture Avenue pojawiły się dwie rozmowy o poezji Floriana Śmieji - z Wacławem Iwaniukiem oraz z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem. Obie znalazły się w książce „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, w Toronto w 1990 roku. Publikacja ta jest ważnym przyczynkiem do analizy procesów, przez które przechodziła współczesna poezja polska. Mimo, że rozmowy były przeprowadzone wiele lat temu, wnikliwe obserwacje interlokutorów nie zdezaktualizowały się.

Redakcja

Grażyna Maroszczuk

Siedem rozmów o poezji **Floriana Śmiei** – książkę opublikowaną w Toronto w 1990 roku – tworzą dialogi spisane na gorąco i rejestrujące, jak powie autor przedsięwzięcia, rozważania poświęcone poezji, sposobom jej przeżywania, sylwetkom poetów znanych i mniej znanych odbiorcy, artystów tworzących w kraju i na emigracji. Nie łatwo przesądzić, co łączy rozmowy zarejestrowane w różnych miejscach i w różnym czasie. Zamyśl konstrukcyjny całości charakteryzuje pewna przypadkowość.

Stwierdzenie starożytnych „verba volant, scripta manent”, że należy ulotne słowa spisać, i dzisiaj nie straciło na aktualności. Dotyczy to również spontanicznych rozmów o literaturze .

Przed laty powziąłem myśl, by sporadycznie przejeżdżających przez London Ontario, przyjaciół i znajomych nagrywać, gdy tylko rozmowa zejdzie na tematy związane z poezją. Z czasem doszedłem do wniosku, że te odruchowe i szybkie wypowiedzi są interesujące i że warte są utrwalenia i udostępnienia innym [...].

Rozmowy nie były planowane. Uważny czytelnik bez trudu odczuje brak spójności między nimi. Z kolei dzięki temu,

osiągam coś, co też jest wartością: spontaniczność, chwytanie na gorąco chwili, przekształcanie się falującej intuicji w słowa szukające prawdy. [1]

Wybór padł w tym wypadku na rozmowy, w których jednym z podmiotów wymiany są poeci, prozaicy, historycy literatury, redaktorzy emigracyjnych pism kulturalno-literackich, wykładowcy: **Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ihnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Wacław Iwaniuk** a „gospodarzem instytucjonalnym” całości jest poeta, wykładowca, tłumacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, eseista, redaktor naczelny londyńskich pism emigracyjnych „Nowy Merkuriusz” i „Kontynenty” – **Florian Śmieja**. Poeta, który ma za sobą trudną drogę na obczyznę, co powoduje, że relacja emigracja – kraj, przetransponowana do poetyckich utworów artysty zaznaczona jest silnie także w innych przekrojach autokomentarzy literata, w jego twórczości wspomnieniowej i paraliterackiej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły biograficzne pozwalające właściwie docenić silną, emocjonalną więź humanisty z ojczyzną. Rozmowy o poezji trudno jednak czytać bez świadomości tego kontekstu, bez zrozumienia trudnej sytuacji emigracyjnego poczucia obcości. Bez ciekawości spraw polskiej kultury, jaka

leży u podstaw przedsięwzięcia, zapewne nie powstałyby dialogi, które zebrane zostały w formie publikacji zwartej. Interesuje mnie zatem, jak poeta pojmuje zobowiązania paraliterackich tekstów. Wszak paratekstowe komentarze zamieszczone we wstępnych rozważaniach animatora dialogów wiążą się między innymi z pytaniem, jak czytać dialogi o poezji. Są one zapisem selektywnej i wybiórczej pamięci, która fałszuje obraz przeszłości. Jednocześnie pamięć ta w sytuacji psychicznej emigranta krystalizuje poczucie tożsamości.

Lekturę siedmiu dialogów rozpocząć należy od *Słowa wstępnego*. Nie sposób nie zauważyć, że metatekstowe wypowiedzi poety i gospodarza instytucjonalnego spotkań, konsekwentnie przypominają o takich wartościach dialogów, jak świeżość aktualnego spojrzenia interlokutorów, fragmentaryczność wyselekcjonowanych epizodów, z drugiej zaś spontaniczność zapisów, zachowanie dynamizmu chwili żywej rozmowy i bezpośredniość kontaktu, która kompensować ma „nieuniknione w takim wypadku niedociągnięcia i usterki”[2]. Sprzeczności, na których rozmowy są zbudowane, trudności w rejestracji mówionego-pisanego świadomość tę jedynie pogłębiają. Autor wstępu sygnalizuje obawy, które towarzyszą opracowaniu materiału. W autoryzacji materiał spisany na gorąco poddany zostanie retuszom, intelektualna rutyna wpłynie na „esencjonalność dorywczego spojrzenia”[3] „mówionego” i zastąpi go skrupulatną korektą „pisanego”.

Z drugiej jednak strony pozostaje szacunek dla pracowitości, skrupulatności zapisu, którym człowiek „umiejący pracować nad słowem” potwierdza swoją rzetelność i szacunek do literatury. „Skrzętny gospodarz sensu” – **Florian Śmieja** nie zapomina przecież o poznawczym, porządkującym trybie „wywiadywania się” i rejestrowania informacji. Odbiorca znajdzie w *Słowie wstępnym* dane na temat genezy rozmów. Biogramy i krótkie noty o ważnych pozycjach dorobku naukowego i artystycznego interlokutorów pełnią tu rolę informacyjnej introdukcji. Siła różnych punktów widzenia, rozpiętość czasowa i zmienność miejsc rejestrowanych na taśmie spotkań (Toronto, Cambridge, Massachusetts, Warszawa) przybliżać mogą w miarę obiektywny obraz rzeczywistości rekonstruowanej po latach w dialogach. Wystarczy przeczytać informacje o miejscu i czasie nagrywanych spotkań, przywołujących odległe konteksty. Przypomnijmy, że rozmowy zebrane w porządku numerycznym rejestrują spotkania z lat siedemdziesiątych. Datą tą opatrzone zostały inicjujące kolejne spotkania, jak informuje autor wstępu, dialogi z **Januszem Ihnatowiczem** poświęcone wspomnieniom czasów „Kontynentów”. Zarejestrowane na taśmie spotkania z **Tymonem Terleckim, Stanisławem Barańczakiem i Krzysztofem Lisowskim** odbyły się w połowie lat osiemdziesiątych. Wreszcie finalizujące książkę dialogi z **Julią Hartwig, Arturem Międzyrzeckim i Wacławem Iwaniukiem** pochodzą z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Dialogi **Floriana Śmiei** z poetami ukazały się w 1990 roku. O karierze form dwuautorskich w trudnych latach transformacji drugiej dekady pisano wiele. Aleksander Głowczewski w książce *Poetyka i pragmatyka „rozmów z....”*[4] analizował przyczyny sukcesu form dwuautorskich, wywiadów z poetami, pisarzami, politykami. Dla badacza umownym punktem początkowym popularności tekstów interlokucyjnych był przełom 1989/1990 roku – jak twierdzi autor monumentalnego studium – są to lata publikacji *Mojego wieku* Aleksandra Wata (pierwszego wydania książki w oficjalnym obiegu). Badacz wskazuje jednocześnie na przyczyny popularności wywiadów książkowych. Jest tu miejsce na informacje szczególnego rodzaju: dotychczas z różnych względów niedostępnych czytelnikowi. Jest miejsce na poszerzenie

przestrzeni komunikacji, zdeterminowanej m. in. obowiązującą w danym czasie doktryną polityczną i ideologiczną (...) [5].

Efektem tak ukierunkowanych zmian było „odblokowanie informacji”. **Florian Śmieja** przypomina o dokumentującej i poznawczej roli dyskursywnych komentarzy, inaczej trafiających do odbiorcy emigracyjnego, niż „mało chodliwe” [6] w rozumieniu wydawców, aspektowe dyskusje, debaty, odczyty na temat poezji [7]. Walory informacyjne tych przedsięwzięć grają rolę

szczególną. Wiążą się z możliwością zaprezentowania mówiącego „ja”, który w obecności Drugiego współtworzy namysł nad życiem, twórczością, doświadczaniem trudów tworzenia w zmiennych sytuacjach historycznych w kraju i na emigracji. Można wstępnie założyć, że istotną rolę w wywiadach zajmowałby dziennikarski punkt widzenia z prawem do oryginalności komentarzy, przede wszystkim umiejętnością utrzymania uwagi odbiorcy na sprawach mało mu znanych. Ale kłopotliwa bliskość literatury i dziennikarstwa w badaniach literaturoznawców i medioznawców pozostaje kwestią ciągle otwartą. Nie można lekceważyć faktu, że pytający jest poetą. Jako poeta interlokutor ciekawy będzie świadomości autorów, tego jak widzieli i widzą swój czas i rzeczywistość, w której przyszło im tworzyć. Chodzi przecież o sposób przeżywania poezji, trudne wybory artystyczne. O te kwestie poeta pyta najczęściej. Potrzeba weryfikowania tego, jak artyści pamiętają swoją przeszłość wydaje tu się mniej istotna. Okoliczności nagrań wyjaśnia komentarz wstępny:

W prezentowanych tekstach występuje rozmówca-poeta, rozmówca- pisarz [...] jako uczestnik życia literackiego, nie krytyk czy historyk literatury[8].

Rolą pytającego jest raczej wywoływanie wspomnień, zatem świadomość tego, który pyta może na swój sposób korygować

interpretację monologizujących, może wyzwalać mowny potencjał rozmówcy, który próbuje porządkowania własnej przeszłości.

W takiej sytuacji nie było właściwe prezentowanie systematycznie przygotowanych pytań. Zadawałem więc ogólne i niepodchwytliwe, a i też nie zawsze, jeśli tylko rozmowa nabierała rozpędu. Próbowałem raczej asystować przy wyłanianiu się wspomnień i osądów, nie przerywałem i nieraz wołałem nie stawiać pytań, jeśli rozmówca samorzutnie poruszał kwestię, choćby nawet nie rozwijały wcześniej rozpoczętej myśli.[9]

Metatekstowy fragment wprowadza czytelnika w świat lektury wywiadów, w których nie ściśle naukowy, nie dziennikarski punkt widzenia zdominował przekaz o sztuce i życiu literackim. Nie zawsze działa tu właściwe wywiadowczym praktykom prawo ekonomii uwagi. Rozmówcy pozwalają sobie na dygresje, usprawiedliwiają potrzebę retardacyjnego opóźniania rozmowy, wtedy gdy rejestracji domaga się nawet mniej ważny epizod, reminiscencja, asocjacja czy rozbudowany, metatekstowy komentarz. **Tymon Terlecki** na marginesie wywodu poświęconego wspomnieniom Leśmiana dopowie:

Wspominanie wymaga pewnych okoliczności. To nie jest aktywność psychiczna, którą można mieć na zawołanie. Są czasami irracjonalne okoliczności które powodują, że otwierają się jakieś śluzy, że wyskakują jakieś skojarzenia. Tutaj zupełnie niespodziewanie dla siebie opowiedziałem tę historię o Leśmianie, którą uważam za przynależną do historii recepcji tego poety[10].

Co do planu treści nie chodzi tylko o rejestrację, dokumentację wydarzeń, proste odwzorowywanie świata i różnorako uwikłaną, ograniczoną interpretację faktów. Mniej wyraźne wydaje się dążenie do maksymalnego zobiektywizowania wypowiedzi. Wartością literatury jest afirmacja emocji i potrzeba kontrolowania ambicji intelektualnych. Dlatego wrażliwość poety, dająca o sobie znać w komentarzach wstępu, pozwala wydobyć walory wspomnieniowych ewokacji interlokutorów:

[...] rozmówcy nie używają aseptycznego żargonu naukowego, który tak skutecznie odstrasza czytelnika[11]

– przypomina **Florian Śmieja** w kolejnej autoeksplikacji. Tym samym uznaje ważną dla gatunku świadomość przystępności komunikowanych treści rozmów, które są – powtórzmy za Anną

Łebkowską „rozmowami dla”, rozmowami dla odbiorcy[12]. Komentatorzy gatunku pisali o sprzecznościach tkwiących w tekstach mówionych pisanych. Ta świadomość mówionego-pisanego towarzyszyła pracom nad redagowaniem rozmów. **Florian Śmieja** umieści w paratekstowej formule wstępu komentarz dotyczący kłopotliwości rejestracji dialogów, trudności natury technicznej:

Oczywiście powstał dylemat czy należało dać autorom tekst do wglądu przed drukiem, istniała bowiem obawa, że rozmówcy będą się starali ulepszyć esencjonalność dorywczego widzenia skrupulatnymi refleksjami i intelektualną rutyną[13].

Umiejętność pracy nad słowem, którą można odnieść do wszystkich rozmówców zagrażałaby – zdaniem autora wstępu – żywiołowi spontanicznej rozmowy.



Florian Śmieja z Niną Taylor-Terlecką, żoną Tymona Terleckiego, Oxford, 2004 r., fot. arch. Floriana Śmieji.

Rzecz tę warto zobaczyć w perspektywie, którą nakreśla animator przedsięwzięcia. Autor wstępu sygnalizuje w kolejnym fragmencie wagę wspomnieniowych ewokacji w dialogach rekonstruujących przeszłość powojenną. Retrospektywy poświęcone zapamiętanym miejscom i ludziom pojawiają się w komentarzach **Tymona Terleckiego** i **Wacława Iwaniuka**.

Tymon Terlecki na marginesie wywodu zastanawia się, nad

mechanizmem rozpamiętywania inspiracji twórczych, które ukształtowały wrażliwość literata i bliskich mu „współleśmianistów”, bo tak krytyk nazywa fascynację lwowskich poetów poezją **Bolesława Leśmiana**:

Dla Leśmiana życie to było naprawdę przez największe „Ż”, obejmujące jakieś najdalsze perspektywy i psychologiczne i metafizyczne, kontemplację i złożoność, tragiczność, wieloznaczność faktu istnienia [...]

Przeżycie nasze Leśmiana było tak swoiste, tak głębokie, tak jakoś subiektywnie natężone, tak pobudzane przez okoliczności życia Zakopanego, sanatoriów, w których spędzaliśmy miesiące i lata przez naszą chorobę [...] [14].

W rozmowie z **Tymonem Terleckim**, krytykiem, historykiem teatru i literatury, redaktorem „Polski Walczącej” – wyłania się wspomnieniowy fragment przedwojennego, rodzinnego Lwowa. Środowisko lwowskich poetów i uczestników wieczorów Kasyna Literacko – Artystycznego. **Stanisław Maykowski** i **Henryk Bald**, literaci mało znani współczesnemu odbiorcy, nie odnotowani w antologiach poetyckich. Kontekstowy charakter rozmowy, nieznane biografie, szczegóły, nazwiska dopełnia komentarz na temat osiągnięć innowatorów poezji międzywojnia. Szczególnie tych, którzy odcisnęli swój ślad w krytycznych

pracach interlokutora: **Józef Wittlin**, **Bolesław Leśmian**, poeci **Skamandra**. We wszystkich rozmowach przewija się refleksja o osobowościach, które wpłynęły na sposób przeżywania liryki przez humanistę. W komentarzu interlokutora przywołane zostaną krytyczne refleksje uczonych na temat Młodej Polski Lwowa i wyrastających z jej inspiracji wielkich projektów kultury polskiej. Nie bez znaczenia dla tego obrazu będzie zaznaczone w tym miejscu wspomnienie **Stanisława Brzozowskiego** autora *Legendy Młodej Polski*. Zasygnalizowana na marginesie wspomnieniowego komentarza, wydobyta po latach, mało znana czytelnikowi, lakoniczna reminiscencja na temat „lwowskiego zaśpiewu” **Irzykowskiego**, utrwalona w pamięci interlokutora i wspólnych rozmów z autorem „Pałuby”. W tle fragmentarycznej rozmowy uwagę zwraca krytyczna świadomość odbiorców i związany z gestem porządkującym wypowiedzi repetycyjny charakter komentarza o przeszłości w odniesieniu do tego, co już zostało przemyślane, wcześniej powiedziane, napisane. Zależność ta ujawni się w nawiązaniu autokomentarza do londyńskiego odczytu, w którym **Tymon Terlecki** wzbogacił o nowe warianty terminologię periodyzacji modernizmu:

W odczycie, który miałem w Londynie, myślę, że zdołałem wylansować ten termin Młodej Polski lwowskiej. Bo jest Młoda Polska zakopiańska, Młoda Polska krakowska, Młoda Polska warszawska [...][15].

Następny autokomentarz dopełnia wspomnienie przyjaźni humanisty z **Kazimierzem Wierzyńskim**, z czasów warszawskich, kiedy poeta był recenzentem teatralnym „Gazety Polskiej”.

W Polsce Wierzyński odnalazł mnie jako młodego, obiecującego literata we Lwowie, kiedy bardzo krótko redagował świetny tygodnik „Kultura” [...] [16].

I dalej sugestywny opis osobowości poety, który zaważył na kulturze duchowej rozmówcy:

Tu mógłbym tylko same banały opowiadać, jakie to było zjawisko nieodpartego uroku ludzkiego, męskiego, towarzyskiego. Wtedy w Zakopanem nawiązała się pewna znajomość, jedna z tysięcy, jakie Wierzyński zawierał, bo on miał przy swojej męskości jakąś niesłychaną, nienasyconą, kobiecą zaborczość zjednywania sobie ludzi, czarowania zagarniania w cień swego uroku. Tam uległem temu urokowi [17].

To powoduje, że świat wartości poety nabiera cech dominujących, zdaje się być wszystkim, co dla niego ważne.

Dobór rozmówców wiąże się także z pytaniem o gest porządkujący, o sposób docierania do osoby twórcy. Odrębność rozmów – o czym wspomina we wstępie redaktor tomu – dotyczy stylu wypowiedzi, strategii ujawniania się „ja” mówiącego lub komentarzy, które mogą być wypadkową chwili, psychicznych predyspozycji interlokutora. Lektura tekstów skłania do namysłu: czym były dialogi wtedy, czym są po wielu latach:

Doszedłem niemniej do przekonania, że coś się z nich ostanie, że nie wszystko się przedawni, że nieuniknione w takim przypadku niedociągnięcia i usterki kompensuje świeżość oraz spontaniczność wypowiedzi[18].

Świadomość tego, który pyta musi oddziaływać na idiosynkrazje bohaterów spotkań, którzy podejmują wysiłek nazwania rzeczy, sproblematyzowania zjawisk i ich wyjaśnienia przy samoświadomości ograniczeń memuarystycznej pamięci. Ciekawość innej optyki widzenia rzeczy „z perspektywy Kraju” pojawia się w pytaniach kierowanych do wszystkich interlokutorów. Wydaje się, że starania pytającego inicjujące dialogi o poezji pozornie ustalają kierunkową rozmowy. Ale słowa odbijają się od słów, natłok dygresji, epizodów związanych z przeszłością wyzwala „swobodną grę wspomnień”[19] a interlokutorzy, odnotuje autor wstępu, wciągnięci zostaną w dialektykę sytuacji, gdy odpowiedź jest równoczesna z pytaniem.

Pograniczny charakter rozmów, samoświadomość mówionego-pisanego nie zawsze towarzyszy funkcjonalistycznie czytany wywiad-rozmowom, w których czytelnik poszukuje informacji niedostępnych poza wyznaniowo-informacyjnym komentarzem, formułowanym w obecności Drugiego. Tak jest w wywiadzie z **Jerzym Pietrkiewiczem** komentującym osiągnięcia artystyczne kolegów po piórze. Interlokutorzy przypominają sylwetkę **Bogumiła Andrzejewskiego, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Bednarczyka**. Interpretacje i poglądy poetów nabierają cech sugestywnych, nawet jeśli są tylko fragmentaryczną projekcją, nie obejmującą całości polskiego życia kulturalnego i duchowego w kraju i na emigracji.

Zebrane wypowiedzi zapewne stanowią źródło interesującego autokomentarza autobiograficznego, metatekstowego, historycznego. Znajdziemy tu wyczerpujące dyskursywne komentarze. **Stanisław Barańczak** zapytany w Cambridge w 1983 roku o poetykę twórczości nowofalowej daje syntetyczny „miniwykład” na temat interesującego rozmówców ruchu programowego, ważnych, lirycznych głosów pokolenia i młodych kontynuatorów dykcji nowofalowej. Rolę czynnego rozmówcy przyjmuje autor *Korekty twarzy* w komentarzach dotyczących roli pism kulturalno-literackich, między innymi „Zeszytów Literackich”, tytułu integrującego środowiska pisarzy krajowych i emigracyjnych. Gest porządkujący charakteryzuje wypowiedzi **Julii Hartwig** i **Artura Międzyrzeckiego** współtworzących

eseistyczny wywód na temat grup poetyckich międzywojnia i poezji powojennej widzianej w syntetycznym uogólnieniu i w perspektywie ważnych dat, które dają wgląd w przełomy polskiego życia kulturalno-literackiego. Przeważają w tym fragmencie pytania o dopełnienie w mozolnym docieraniu do obrazu nieznanego gospodarzowi przebywającego w tym czasie na emigracji. Pojawiają się pytania dotyczące politycznego, ekonomicznego i kulturalnego wizerunku Polski, który przechowała pamięć interlokutorów. Sposób prezentowania poglądów poetów, chłodnego ważenia racji rozmówców zmienia się, gdy pytający prosi o komentarz do sytuacji współczesnej środowisk poetyckich w Polsce. Tu spokój argumentacji nie może do końca przewyciężyć emocji związanych z troską o przetrwanie kultury narodowej, wartości moralnych, poszukiwania hierarchii wartości autentycznych, bez których liryka zdaniem dialogizujących poetów nie może się obyć. Mamy zatem w antologii wywiadów do czynienia z problemowym uporządkowaniem i wspomnieniową „mitologiczną *genesis* świadomości bohaterów dialogów”[20].

Wywiady z pisarzem i dialogi poety z poetami w kontekście innych dokonań artystycznych humanistów dowodzą zainteresowania, wrażliwości emocjonalnej i potrzeby uczestnictwa emigracyjnego twórcy w życiu bieżącym kraju – przypominał Zbigniew Andres w szkicu *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei***[21]**.

Trudno dziś bowiem nie docenić informacyjnej roli dwuautorskich, samoświadomych autoanaliz i interpretacji, wpisanych w gest porządkujący, dociekań dość ważnych z punktu widzenia wiedzy o literaturze. W rezultacie tych spotkań otrzymujemy wcale nie mały kontekst wypowiedzeń biograficznych, socjologicznych i interpretacyjnych.

[1] Wszystkie cytaty za edycją: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji*. Toronto 1990.

[2] Ibidem, s. 9.

[3] Ibidem.

[4] A. Głowczewski, *Poetyka i pragmatyka „rozmów z...”*, Toruń 2005.

[5] Ibidem s. 232.

[6] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne...*s. 10.

[7] Ibidem.

[8] F. Śmieja: *Siedem rozmów o poezji...*s. 9.

[9] Ibidem, s. 8.

[10] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem rozmów...* s. 22.

[11] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne...*, s. 9.

[12] A. Łebkowska: *Rozmowy z pisarzem – analiza gatunku*, [w:] *Kryzys czy przełom. Studia z teorii i historii literatury*, pod red. M. Lubelskiej i A. Łebkowskiej, Kraków 1994, s. 175–18; A. Głowczewski: *Poetyka i pragmatyka „rozmów z ...”*, Toruń 2005; K. Maciąg: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”*, Rzeszów 2001. S. Bereś: *Historia literatury polskiej w rozmowach XX-XXI wiek*, Warszawa 2003, s.13. B. Witosz: *Stylistyka prozy interlokucyjnej – uwagi wprowadzające*, [w:] *„Język Artystyczny”*, t.13: *Interakcyjny wymiar dyskursu artystycznego*, pod red. B. Witosz, Katowice 2007, s. 109.

[13] F. Śmieja, *Siedem dialogów...*s. 9.

[14] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem rozmów...*, s. 21.

[15] Ibidem, s. 16.

[16] Ibidem, s. 19.

[17] F. Śmieja, *Słowo wstępne...*, s. 9.

[18] Ibidem.

[19] Ibidem.

[20] M. Kurek, J. Ziarkowska, *Wstęp*, [w:] *Rzeczywiste i możliwe. Rozmowy z Florianem Śmieją*, Wrocław 2005, s. 9. Por. też: G. Maroszczuk, *Rzeczywiste i możliwe – rozmowy z Florianem Śmieją*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie. Studia i szkice*, pod red. B. Szałasty-Rogowskiej, Katowice 2010, s. 121-124.

[21] Z. Andres, *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie...*s. 112-115.